ZORZE JUTRA



NR 1

1 9 3 7
GRUDZIEŃ

ROK I

Projekt okładki: WIKTORJA BATJAN

ZORZE JUTRA

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK ARTYSTYCZNO-SPOŁECZNY

ROK I WARSZAWA, 1 GRUDNIA 1937 R. NR. 1

SPIS TREŚCI

ILUSTRACJE

Z archiwum red. „LINII"
Jalu Kurka

SŁOWO WSTĘPNE

Każdemu poczynaniu się towarzyszą zwykle liczne pragnienia, tęsknoty, zamiary i obietnice.

Posyłając w świat pierwszy numer naszego miesięcznika, pragniemy przedstawić je niżej tym, do których posłanie to dotrze.

Pismo nasze posiada charakter wybitnie artystyczno-społeczny.

Problemy polityczne nie będą przezeń poruszane, wyjąwszy tylko takie, które wkraczają w orbitę idej ogólnoludzkich; otrzymywać one będą zawsze podejście i formę czysto artystyczną. Wystąpień jaskrawo tendencyjnych nie uznajemy.

Jednakże o ile możności starania nasze pójdą w tym kierunku, by treść materjału drukowanego była związana z aktualnością bieżącego życia.

W wypowiedziach tych stanowisko nasze będzie całkiem objektywne, gdyż szanujemy wolność myśli czytelnika; sąd, opinję, rozwiązania i wnioski pozostawiamy jego umysłowi i sumieniu.

Pragniemy, by pismo nasze znalazło oddźwięk przeważnie w tych sferach czytelniczych, które ponad prasę partyjną, obozową i wojującą przenoszą prasę spokojną, szlachetną w swych pobudkach i zamierzeniach, posługującą się metodami uczciwości, prawdy i sumienia.

Staramy się, by czytelnik znalazł w tej lekturze wytchnienie i oderwanie się od walk, tarć i dysonansów, czem karmi go lwia część prasy dzisiejszej, a jednocześnie zapoznawał się z prądami myślowemi, ideałami i tęsknotami młodego pokolenia polskich pisarzy, którzy życie budować pragną na mocnych podstawach najszlachetniej pojętego człowieczeństwa.

Wiemy, że w wielu wypadkach głos nasz będzie głosem wołającego na puszczy, ale trud nasz podejmujemy w tem przeświadczeniu, że nic w naturze nie ginie, a zatem i on zginąć nie powinien; że znajdą się tacy, którzy trud nasz podejmą i dopomogą do zrealizowania naszych haseł i założeń.

Wytężymy też swe siły, by pismo bezustannie rozwijać, bogacić i upiększać, a temsamem zbliżać się do coraz pełniejszej realizacji naszych pragnień i zamierzeń.

REDAKCJA

IRENA TITOW

IDĄC PRZEZ ŻYCIE...

Idąc przez życie przez lat wiele,
wśród trosk codziennych i zapasów,
spotkali się dwaj przyjaciele: —
dwaj przyjaciele z dawnych czasów.

Radosna chwila powitania
po dniach dręczącej samotności
błysnęła krótko i przelotnie
i utonęła bezpowrotnie
na smutnej fali rozmyślania
o dniu dzisiejszym i przeszłości.

Chwilę w milczeniu szli głębokiem.
Pierwszy z przyjaciół z kruczym włosem,
z płomiennym choć zgnębionym wzrokiem,
rzekł przerywanym z bólu głosem:

„Gdy przed kilkoma ledwie laty
wchodziłem w życie pełen sił,
promiennych pragnień rój skrzydlaty
ku słońcu się przede mną wzbił,
i radość mnie objęła czysta,
żem wolny człowiek i artysta.

Widziałem pysznych twórców krocie;
bezmyślną pustą formą szumni,
błyskotliwością dzieł swych dumni,
płynęli w taniej chwały złocie.

Inni ku ziemi pochyleni
orali sztuki glebę żmudną,
zbyt dla nich piękną i zbyt trudną,
by mogli dobyć z niej promieni.

Czułem, że moc sił trzeba zużyć,
że moc jest przeszkód do przebycia,
aby zastygły posąg zburzyć
i stworzyć kształty pełne życia.

Ufałem ślepo swojej sile.
Wierzyłem, że za dzień, za chwilę...
że dzielny młody hufiec stanie
na pierwsze moje zawołanie...

Że twórczą pracą i zapałem
porwę za sobą innych wielu.
O, mój najdroższy przyjacielu,
jak bardzo ja się oszukałem!

Więc wyszydzono mię, wyśmiano,
(Lecz to jest głupstwo... mniejsza o to).

od stóp do głów mię unurżano
w podłość i oszczerstw błoto.
Deptano wściekle wszelkie plony,
które wydała moja gleba;
kto żyw wydzierał, jak szalony,
z mych rąk ostatnią kromkę chleba.
Musiałem gryźć się w dzień i w nocy,
żyć w nędzy, jak ten pies ostatni...
I choćby jedna dłoń pomocy,
chociażby jeden odruch bratni!
Cierpienie serce mi przeżarło,
gdy do najwyższych doszło granic;
i tyle myśli się zatarło,
i tyle uczuć poszło na nic.
Teraz, gdym przeszedł przez to piekło
zażartej walki ludzkiej rzeszy,
zmęczenie duszę mi zaległo,
do pracy mi się już nie spieszy.
Dziś często wobec siebie czuję
i gniew, i litość, i pogardę,
gdy widzę ile sił marnuję,
jak mię złamało życie twarde".
Drugi przyjaciel na tę mowę
zwolna schyloną podniósł głowę,
i patrząc wzrokiem zgasłym, suchym,
ozwał się wreszcie głosem głuchym:
„Czy znasz ty mgłę codzienną, szarą,
która się wciska każdą szparą
i w sercu ludzkiem wciąż osiada,
wszelką treść życia wyssać rada?
Ty nie znasz pustki czczej duchowej,
bezbarwnej, wiecznej i jałowej.
Tyś jest złamany — ale żywy,
szczęśliwyś—chociaż nieszczęśliwy;
chociaż przeszedłeś straszny chrzest,
nie dosięgnąłeś dna cierpienia:
najciężej bowiem temu jest,
kto nie ma nic do powiedzenia".

STEFAN SPYRA

Z DALEKA

Żonie mojej

Z niskiego zagajnika wyszły dwie kobiety. Przystanąwszy na krótko, rozejrzały się wokół frasobliwie. Nizinny krajobraz, zamknięty lamą sinego boru, rozłożył się przed niemi hen—hen. Drobniutki, mżący od rana deszcz, zwolna przycichał. Smętną martwotą jesiennego dnia wisiała ponad ziemią.

Po chwili starsza, rozeznawszy się w okolicy, skinęła ręką w zamyśleniu.

Podążyły miedzą, biegnącą wśród młodziutkich ozimin.

— Już pewnie niedaleko, mamo?...— spytała młodsza, idąca przodem.

Matka milczała, dalej pogrążona w swych myślach.

— Byłaś tu już raz, prawda? — zagadnęła córka powtórnie, pragnąc nawiązać rozmowę. — Pamiętam, byłam jeszcze małą wtedy, gdyś pierwszy raz jechała w daleki, nieznany ci dotąd kraj...

Zapytana tylko westchnęła w odpowiedzi.

Córka obejrzała się trwożnie.

Ukłuł ją w serce żal.

— Biedna starowina... — pomyślała z tkliwą troską. — Wspomnienia tego sprawiają jej snać ból.

Lecz tak gorąco pragnęła posłuchać i dowiedzieć się o tamtych czasach, które dziwnie w niej odżyły tutaj, na tych szarych polach, wśród których obie się znalazły.

Jej pytanie, zaprawione tonem oczekiwania, wyrwało matkę z odrętwienia, w jakiem trwała od chwili, kiedy, wyszedłszy z zagajnika, ujrzała daleki bór.

— Tak, było to w rok po wojnie...— zaczęła. — Nie mogłam cię zabrać z sobą, gdyż byłaś maleństwem. Później, gdyś już podrosła, bardzo pragnęłam, abyśmy przyjechały tu razem, ale wtedy znów nastały czasy naszej nędzy i poniewierki, które zapewne pamiętasz...

Lecz nie to, o czem mówiły w danej chwili, widziała przed oczyma. Inny obraz ją męczył. Wżarł się w jej mózg i serce. Stał się cząstką, wrośniętą w jej jestestwo. Nosiła go w sobie oddawna, jak najserdeczniejszą treść swej istoty:

Wielki dworzec. Długi pociąg, naładowany dopełna żołnierzami, cały w zieleni i kwiatach, odjeżdża wolno, wolno... Orkiestry grają hymn narodowy, później pożegnalnego marsza. Zebrany tłum kołysze się, miesza i huczy; tysiące chusteczek trzepocą się w powietrzu, poruszane drżącemi rękoma... Było smętne popołudnie, podobne do dzisiejszego...

— Posiadam plan, nadesłany mi przez Towarzystwo opieki nad grobami poległych bohaterów — ciągnęła dalej, nawiązując do początku rozmowy. — Ile się naszukałam pierwszy raz, Bóg jeden wie! Teraz już uporządkowane. Tak, już niedaleko... — szepnęła jakby do siebie i zamilkła.

Z miedzy zeszły na polną drogę, obramowaną po bokach białym kamieniem. Żelazna strzałka, umocowana na słupie betonowym, wskazywała kierunek.

Dziewczyna oglądała to wszystko szczegółowo.

— Gdy jej braknie, — myślała w duchu o matce — sama będę przyjeżdżać tutaj co roku.

Jeszcze długo szły ową drogą, potem znów ścieżkami, ścieżkami, już prosto i pewnie, jakby stamtąd były rodem.

Wreszcie stanęły na piaszczystym trakcie, przecinającym las złotawą wstęgą.

Poszły jego środkiem, gdyż po bo-

kach rozlały się kałuże wody, a nad ścieżką, o tej porze mokrą i grząską, rosły gęste krzaki cierni.

— Nic prawie nie zmieniło się od czasu, kiedym była tu ostatnio—pomyślała starsza, patrząc przed siebie, w prostą ulicę drzew. — Ta sama droga, prawie tyleż co i wtedy kolein, wiodących „tam"... A przecież to już tyle, tyle lat minęło...

Przy tej ścieżce stał jeszcze jeden drogowskaz.

Udały się w odpowiednim kierunku, wgłąb boru.

Opodal, na jego skraju, leżał cmentarz wojenny. Był nieogrodzony. Opasywał go wał ziemny, spięty dwoma kamiennemi słupami.

Przeszedłszy kładkę, stanęły przed furtką.

Zardzewiała klamka, snać bardzo rzadko poruszana, szczęknęła przejmująco.

Cmentarz ów wyglądał jak większość wojennych, któremi gęsto usiana jest ta ziemia. Na środku stał głaz olbrzymi, granitowy. Na jego szczycie ustawiono tablicę z dostojnym napisem: „Wróg i przyjaciel zbratani po śmierci" oraz wyliczeniem ilości poległych, jakiego stopnia i narodowości. Okalał ją wieniec, z liści wawrzynu spleciony, wykuty z tegoż samego materjału. Wkoło głazu leżały mogiły pojedyńcze, sypane w prostych linjach i równych odległościach. Każdą przyciśnięto betonową płytą. Wydeptane kiedyś między niemi dróżki już dawno zarosły bujną murawą.

Tak, rzadko kto przychodził na to odludzie. Zresztą leżeli tu obcy, ci, których najdrożsi pozostali kędyś daleko, poza granicami tego kraju.

Nad całym cmentarzem rozpościerały się sosny niskopienne. Posadzone ongiś, przed laty, były młodziutkie i jeszcze smukłe, z czasem rozrosły się w górę i wszerz, tworząc zwarty mały bór.

Starsza kobieta sunęła prosto, bez wahania, z wzrokiem utkwionym w pewne miejsce. Chwilami tylko, wymijając drzewo, opierała się o pień,



jakby nagle złamana, drugą dłonią przyciskając piersi.

— Co ci jest, mateczko? — pytała z lękiem córka, obejmując słabą wpół.

— Nic, już nic... — odpowiadała uspakajająco matka, stawiając krok naprzód.

Lecz na jej twarzy zbolałej widać było wyraźnie, że walczy ze wzruszeniem, które jej nogi podcina, że stara się trzymać prosto głowę, którą smutek przeogromny skłania ku ziemi.

Jej ból udzielił się i córce: przejęła się równie głęboko. Trzymając matkę pod ramię, przytulona mocno, szeptała do niej z tkliwością, jak do bardzo chorego, wyrazy kojącej pociechy:

— Uspokój się, mamo... Tak się stało... Tak widocznie chciał Bóg Wszechmądry... Zgódźmy się z Jego wolą...

Matka podniosła na nią załzawione oczy.

— Nie, dziecko — lekko zaprzeczyła głową. — O, ty inaczej czujesz, niż ja. Wy młodzi dzisiejsi inaczej czujecie, niż ja. Ale tak was wychowano. Ja rzeczy te biorę sercem krwawiącem. Dlatego tak trudno nam zgodzić się wzajemnie. Głęboka przepaść istnieje między poglądami i uczuciami naszemi, choć ta sama krew płynie poprzez nas. To bolesna tragedja...

— A przecież — próbowała przekonywać córka — tak ojciec jak i inni przyszli tu w imię wielkiej idei...

— Tak, piękne to słowo, ale nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak je wojująca ostatniemi czasy ludzkość zszargała i splugawiła. Czytałam kiedyś jakże mądre słowa: „Ludzkość nie wie, że zmarła już przed dwudziestoma laty“[1]).

— Tyle żon i matek obok ciebie cierpi również z tego samego powodu...

— To nie odpowiedź. Cierpieć a cierpieć, — to różnica. Myślisz, że uroniłabym choć jedną łzę, wiedząc, że z bólu mego puści pędy kwiat pięknej i wzniosłej idei?

— A ci co tu leżą?... — zapytała córka, słabnąc w swych przekonaniach.

— Nie, dziecko — matka odparła z niecierpliwą goryczą na to niezrozumienie.

Zamilkły.

Powiało między niemi obcością.

Matka znów wróciła do wspomnień.

— Prawie nie pamiętasz ojca. Odjechał, gdyś była taka maleńka, jeszcze przy piersi. Pomnę, — zaczęła opowiadać coraz żywiej, jakby wskrzeszanie tego sprawiało jej wielką rozkosz — był już gotowy, w hełmie bojowym; zbliżył się do mnie, by cię ucałować na pożegnanie. Widzę, jak przygarnęłaś się doń ochoczo, z radosnem gaworzeniem, tylko mnie samej zrozumiałem, dziecięcym instynktem wyczuwając, że to on właśnie, Karol, który nigdy nie mógł nasycić się tobą. Straciłaś tylko ojca... Ja więcej. Straciłam wiarę w dobroć i szlachetność człowieka, wiarę w mądrość ludzkości, która miała już tyle bolesnych doświadczeń! I wiary tej do dziś jeszcze nic nie zdołało mi zwrócić. Przeciwnie...

Urwała, jakby spostrzegłszy, że straciła wątek tego, o czem z początku zamierzała powiedzieć.

— Mów dalej, mów, mateńko... — prosiła córka.—W domu nie opowiadałaś mi o tem. Dopiero teraz... tutaj...

— Tak, tutaj... Lecz dajmy pokój dawnym żalom — odparła wymijająco, nanowo skupiona w sobie.

Zapadał mrok, szybko gęstniejący pod drzewami. Z igieł sosen spadały z leciutkim szmerem krople dżdżu. Wokół stała mistyczna martwota. Ostra woń gnijącego w trawie igliwa przesiąkała wilgotne powietrze, potęgując smutek i żałość.

Ugięły się kolana pod matką.

Obie klękły przy tej samej mogile, leżącej w długim bratnim szeregu. Cór-

[1]) Henryk Bèraud.

ka złożyła na niej wiązankę nieśmiertelników, które przywiozła z domu, jako symbol pamięci serdecznej, nieprzemijającej i pozdrowienia rodzinnego kraju.

Płytę nagrobka już pokryła pleśń. Niewyraźnie, rozlewnie majaczyły się wykute kiedyś litery. Róg jej, zwietrzały docna, odkruszył się w trawę. Córka patrzyła na szczerbę, jak na ranę najboleśniejszą swego serca...

— Tak oto mija wszystko, wszystko... — pomyślała z rezygnacją, schylając się, by odczytać nazwisko i datę śmierci ojca.

W wąskich wyżłobieniach, które kiedyś tworzyły napis: — krótką historję poległego — zasiał się mech. Jego narost wił się w wianuszki, skręty, kółka i misterne plecionki, jak żółto-zielony sznurek; wypełzł i na wierzch, rozkładając się wszędy kępkami drobniutkiego nalotu.

Z trudem, z wielkim trudem udało się jej nieco odczytać i złożyć wyrazy, ukochane wyrazy, zamykające w sobie to, co jej najdroższe, a już na zawsze stracone.

— A więc to tu, głęboko... — uprzytamniała sobie to wszystko, o czem dawniej marzyła tylko, w zaduszne wieczory siedząc skupiona tam daleko, w swym kraju... — Oto przyszłam do ciebie, ojcze, z daleka, w tęsknocie, niosąc ci miłość swoją, ból niezagojony i słowa czci najżarliwszej... — szlochała cichutko.

Matka klęczała obok nieruchomo, ścięta bezgranicznym bólem własnych przypomnień i rozważań.

Wkońcu westchnienie głębokie, wydobyte z dna serca, poruszyło jej postać. Przeżegnała się kilkakrotnie wolno, ze skupieniem nabożnem, szepcąc do siebie jakieś wyrazy.

Jednakże nie zdołała ich zgłuszyć w sobie i zamknąć przed córką.

— Karolu, Karolu!... — wyrwały się w gwałtownym wytrysku bólu: skondensowany wyraz cierpkiej rzeczywistości.

I wnet przed jej wzrokiem zaczęły sunąć zwidzenia dawno, już dawno minionych przeżyć, czasów już odległych, tak jednakże w niej ciągle żywych i przeraźliwie wyraźnych, jak ów żal ogromny, co płynął poprzez nią teraz piekącym nurtem. Chybocący się płomyk świecy, postawionej na płycie, niecił w jej oczach gwiazdy o długich, błyskawicznie łamiących się rogach...

Uparcie wracał obraz tamten, obraz dworca w ów jesienny przedwieczór, od którego, jak po szynach, pomknęło w przyszłość jej dalsze, niewysłowienie ciężkie i smutne życie...

Sercem swem, jako prawdziwa kobieta, kochająca każdy, najdrobniejszy przejaw życia, pleniącego się coraz szerzej i dalej, nie mogła pojąć i zrozumieć, dlaczego stało się tak właśnie, jak się stało. Życie i życie, oto cały sens świata! Poco je tłumić i zabijać świadomie? Śmierć przychodzi przecież sama.

Wsparłszy się ramionami na płycie nagrobka, pochylona wdół, nawprost głowy poległego, zaczęła mówić wolno, dokładnie wymawiając każde słowo:

— I pocoś tu przyszedł? Ciasno ci było u siebie? Zawsze mówiłeś, że mamy mało ziemi, a tu leży odłogiem. Nieprawda! Żyli tu przecież ludzie, jej prawowici od wieków dziedzice, zrośnięci z nią od pierwszego swego tchnienia. Dlaczegoś ich niepokoił? Dlaczegoś ich grabił w swej zachłanności? Dlaczegoś chciał mieć większe prawa do życia, niż oni? Nie byłeś innym, lepszym człowiekiem. I nie ty jeden tu przyszedłeś. Przyszli z różnych stron, z różnych krajów, byli różnego pochodzenia. I tu, na tej ziemi biednej, już dość skołatanej przedtem, urządziliście sobie zażartą rozgrywkę, jak psy o kości.

I padłeś zaraz, w pierwszych dniach, jakby dokumentując swą wielką omyłkę. Pragnąłeś ziemi, masz ją! Masz jej

teraz dość... o, za dużo nawet!... Przygniotła cię całego, wyżarła oczy i ciągle cię trawi, trawi... Patrz, jakie drzewa wyrosły; spójrz, jakie trawy wybujały na tej glebie, twoją krwią użyźnionej!... I cały ten kraj, jak długi i szeroki, tak zasłany kośćmi obcych...

Gorzkie to słowa, kochany, wiem. Zakrawają na przebolesne urągowisko waszym hasłom, które was aż tu przywiodły. Lecz muszę ci je powiedzieć do końca. Muszę powiedzieć je tutaj i dziś, kiedy powinnam jeszcze raczej modlić się za spokój twej duszy. Muszę ci je powiedzieć przy córce, by ją uchronić od zbłąkania, któremuście sami ulegli. Wybacz mi. Czczę wasz gorący patrjotyzm, tak; czczę wasze wszystkich, jak tu leżycie, bohaterstwo; lecz ponad tem wszystkiem jest coś, co się mści. Najwyższa Sprawiedliwość wiecznie czuwa: kraj ten wstał mocen, z dnia na dzień potężnieje i, pełen siły niespożytej, zdąża ku pięknej przyszłości!...

Urwała.

Błogosławiona tężyzna wpłynęła w nią nagle.

Spojrzała na córkę słuchającą w zdumieniu, szukając u niej potwierdzenia tych skarg i wyrzutów, które jej oddawna rozsadzały serce.

Lecz ta, nic nie odrzekłszy, przytuliła się do niej cichutko, z niewysłowioną tkliwością, zamykającą głęboko bolesne zrozumienie.

Przyszła tutaj z daleka, by w tej jednej chwili ujrzeć objawienie się wielkiej i tragicznej prawdy...

MARJA ŁASZCZUKÓWNA

DO PESYMISTY

Jeżeli kiedy wrócisz wspomnieniem
do tych minionych beztroskich lat,
gdy miłość była dla cię natchnieniem,
a każdy człowiek — bliskim jak brat...

Kiedy kochałeś nietylko słońce,
ale i szare jesienne dnie...
Gdy słowa twoje ciepłe, kojące
zdołały w uśmiech zamienić łzę...

Wówczas... — znów w sercu poczujesz ciszę,
a w oczach twoich zapłonie blask.
Wówczas napewno z ust twych usłyszę —
że świta wiary powrotny brzask.

Dr. JAN HORSKI

SIC TRANSIT GLORIA MUNDI...

Jest tyle sił w narodzie,
Jest tyle mnogo ludzi,
Niechże w nie Duch Twój wstąpi
I śpiące niech pobudzi.

St. Wyspiański: „Wyzwolenie“

Wypłynęło przed nami zagadnienie polskiego bytu, a zatem polskiej indywidualności. Indywidualność jest to ta jedność, którą wciąż organizuje w całość elementy ludzkiej natury. Bez tej siły organizującej, bez tego dążenia do jedności, człowiek staje się sam dla siebie chaosem, igraszką popędów i przypadków, igraszką tem niebezpieczniejszą, im ma bogatszą naturę. To samo dotyczy i narodów.

Artur Górski: „Drogi do kultury“.

Wstąpiliśmy więc już w okres nowego bytu państwowego. Jego dzieje nie należą do przeglądu historycznego, lecz stanowią treść i cel wszystkich bieżących działań naszych. Dzisiaj już nie jacyś oni historyczni, ale my odpowiadamy za wszystko.

Wanda Studnicka: „Dzieje Polski Porozbiorowe“.

Pisałam z dobrą wiarą,
z ręką na sercu założoną
— okiem wpatrzona w społeczność,
której losy nad wszystko mię obchodzą.

Marja Szeliga: „W przeddzień“.

Święto umarłych.

Cmentarze ożyły.

Umarli dochodzą do głosu. Odrywają nas od spraw codziennych, każą myślą powrócić do Nich.

W ciszy cmentarnej, przy listopadowym poszumie drzew, rozmawiamy z duchami zmarłych, jak niegdyś z żywymi...

W zadumie niejeden z nas zdaje w myśli cichy rachunek sumienia.

*

Tak się złożyło, że moją „karjerę“ dziennikarską rozpocząłem przed trzynastoma laty wspomnieniem, napisanem pod wpływem zgonu mojej Nauczycielki i Przewodniczki, nieodżałowanej ś.p. Wandy Gizbert Studnickiej.

Niemal w dwa lata później wypadło mi żegnać ś. p. Marję Szeligę Mirecką, założycielkę i naczelną redaktorkę paryskiego „Ogniska“, która niby dobry duch patronowała mi w pierwszych krokach mojej samodzielnej pracy na obcym mi wówczas terenie.

Od tego czasu już nieraz rzucałem słowa pożegnania w otwarte mogiły...

*

Chciałoby się z tymi Duchami porozmawiać, zapytać o to i owo, zasięgnąć porady, prosić, aby, jak dawniej, rozwiały niejedną wątpliwość...

Bo tak już jest w życiu, że myśląc o Nich, myślimy stale i o sobie, a i w tym dniu nie możemy oderwać się od bieżącego życia, od tego wszystkiego co tkwi niejako w nas.

A tymczasem życie zmienia się, toczy, rwie naprzód, tak często deformuje i wypacza rzeczy i ludzi...

*

Dnia tego mam zwyczaj przeglądania tych wszystkich cennych dla mnie pamiątek, nietylko z powodu dedykacyj, które przenoszą mnie myślą w dawniejsze, lepsze czasy, ale, oglądając je, odczytując po raz nie wiem który, zbliżam się niejako do tych cieleśnie już nieżyjących, a jakże często czuję refleks ich osobowości.

Oto niewielka książeczka: „Dzieje Polski Porozbiorowe“ Wandy Studnickiej; jedna z Jej prac popularyzatorskich, w których celowała...

I przypominają mi się słowa, nabrzmiałe bólem, ale słowa mocne, wypowiedziane smutnego marcowego dnia 1924 roku nad trumną ś.p. Wandy Studnickiej:

„Siostro! Twój sztandar nie będzie całunem!“

Ale podnoszę wzrok, który nieoględnie pada na biurko, gdzie leżą ostatnie prace publicystyczne prof. Władysława Studnickiego, niegdyś bliskiego współpracownika Marszałka Józefa Piłsudskiego.

*

Znany filozof i historyk włoski Benedetto Croce, autor studjów o rewolucji neapolitańskiej roku 1799 i przed kilkoma laty ogłoszonej w trzeciem wydaniu historji Europy wieku XIX-go, wygłosił na międzynarodowym zjeździe filozofów w Oxfordzie w roku 1930 odczyt, w którym przestrzegał przed prądem antyhistorycznym.

Prąd ten nie uznaje wartości kulturalnych, tkwiących nietylko w urządzeniach, ale nawet w uczuciach i pojęciach ludzi, nie uznaje zasady rozwoju stopniowego i żadnych wogóle więzów tradycyjnych, które winny krępować swobodę poczynań ludzkich we wszelkich dziedzinach życia. Drugą odmianą tego prądu — przed którą Croce również przestrzegał — jest chęć autorytatywnego, podjętego zgóry, narzucania krajom i ludziom spetryfikowanych raz na zawsze urządzeń, wzorów myślowych, uczuć nawet, nieliczących się zgoła z przeszłością.

Lekceważenie wszystkiego co się szanowało dotąd, a więc ustalonego pojęcia o przekazywaniu zdobyczy duchowych każdej generacji następnym, ciągłości życia dziejowego — może okazać się niebezpieczne.

*

Historia magistra vitae est.

Bo też historja się powtarza.

Nowe pokolenia, które usiłują obalić w gruzy budowle przeszłości i znieść tradycje ubiegłych wieków, składają się w pewnej mierze z takich samych, jak ci, których zwalczają.

Na szafotach i gilotynach ginęły później te głowy, w których zrodziły się nowe idee.

Poprostu na ich miejsce napłynęli tacy, których nęciły pozostałe po nieboszczykach stanowiska.

Po władzę idzie się z różnemi sztandarami: to orły, to lilje; zmieniają się przytem tylko kolory proporców.

Ci co głoszą hasła obalenia wszelkiego despotyzmu i przywileju, gdyby byli szczerzy, winniby dodać, że mowa tu tylko o cudzych przywilejach i cudzym absolutyzmie.

Przywilej, cenna rzecz, ale tylko dla tych, co go posiadają.

Na jakiej jednak podstawie oprzeć przywileje, gdzie i jakiego należy szukać kryterjum wyróżnienia.

Ci co się odznaczyli? Ci, których odznaczono? Ci, którzy chcieliby być odznaczeni? Ci, co powinni być odznaczeni, ale niczem się nie wyróżniają, bo nie posiadają odznaczeń?

Bieg jednak wypadków jest dziś bardzo szybki.

Niejeden z tych, co zostali najwyżej odznaczeni, w kilka lat później był odrzucony, bo zawadzał tym, co szli na jego miejsce w pochodzie zwycięskim.

A było i tak, że ci spośród najwyżej odznaczonych pomagali początkowo swoim następcom w fałszywem przeświadczeniu, że utwierdzają w ten sposób swoje stanowisko i wpływy.

„Bo takie już czasy — jak słusznie zauważa znany publicysta Bol. Koskowski. — Pełne prób dla jednostek, charakterów, grup i narodów“.

PIOTR ŁASTÓWKA

ZWIĘDŁY OWOC ŻYCIA

Za górami, za lasami, — daleko, — w cichem miasteczku, otoczonem winnicami, gajami oliwek i pomarańcz, żyło sobie piękne i urocze dziewczę. Rozwijało się na łonie natury, przepojonej pięknem i miłością, beztroskie jak dziecko.

Ale te lata szczęśliwości niewysłowionej szybko zbiegły i do serca dziewczęcia któregoś dnia zapukała miłość.

Nastał więc czas dziwnych niepokojów, tęsknot za czemś niezrozumiałem i marzeń nieuchwytnych, które nawiedzają budzącą się kobiecość. Sława rozniosła imię dziewczęcia po okolicy szeroko. Liczni młodzieńcy, spragnieni najtęższego szczęścia, z nabożną czcią wymawiali to imię, wzdychali, by posiąść na własność ten idealny twór kobiecego piękna.

Lecz dziewczę było z natury swej niedostępne. Okazywało im chłód i obojętność, choć w głębi serca jego cudnie się mienił kwiat tych samych uczuć, pragnień i nadziei. Bało się przyznać przed sobą do tego, że już nadszedł czas, by oddać się wybranemu na własność i spełniać swoje wzniosłe przeznaczenie.

— Nigdy nikogo nie pokocham — mówiła dziewczyna do młodzieńca, który wyznawał jej swą miłość.

On, klęcząc przed nią, roztaczał przed jej wyobraźnią piękno, czar i krasę tego życia, które się mogło przed niemi otworzyć. Błagał, zaklinał i przekonywał.

Lecz to wszystko było daremne. Płochliwa dziewczyna śmiała mu się w twarz, a gdy on, zrażony tem, odchodził, dumna była ze swego rzekomego zwycięstwa.

Nieraz, w chwilach tęsknego nastroju, zastanawiała się nad tem, dlaczego tak postępuje. Świat był piękny, wiosna roztoczyła krasę swych wdzięków, poprzez ciało płynął rwący nurt miłości, a ona starała się nie ulec temu.

— Jesteśmy stworzeni wyłącznie dla siebie — szeptał młodzieniec, trzymając ją w ramionach, zimną napozór i wymykającą się. — Pachną gaje pomarańcz. Cudny wieczór spłynął na ziemię. Słowiki w przeradosnym śpiewie wznoszą hymn szczęścia. Za moją chatą na skraju miasteczka perli się potok przeczysty. Kochamy się oboje, cóż więc za przeszkody stoją naprzeciw naszemu szczęściu?

— Skąd jesteś pewny, że ja cię także kocham? — spytała z udanym chłodem.

To go drażniło, właśnie to. Nie mógł z niej zrezygnować. Zdobywał ją różnemi sposobami, dążąc do wytkniętego celu cierpliwie, niestrudzony i nieugięty, co dzień z nowym zapasem sił.

— Okłamujesz sama siebie. Serce twoje, wiem o tem dobrze, rwie się do szczęścia. Posiadasz wszystkie zalety, by dać ukochanemu to wszystko najpiękniejsze i najdroższe, co kobieta mężczyźnie dać potrafi...

— Mylisz się. Jestem sobie ot taką zwykłą dziewczyną i niczem więcej, uroiłeś sobie coś nierzeczywistego, co się nigdy nie może spełnić.

— Nie, kochanie — zapewniał gorąco — nie jestem w błędzie. Wiem, co mówię.

— Ja jednak czuję inaczej, niż mi to przypisujesz.

— Zapewniam cię, że pogrzebiesz na zawsze swoje i moje szczęście — jęknął z goryczą.

Nie pozwalała się całować, zaciskała wargi, broniła dotknięcia swych cza-

rodziejsko pięknych piersi, wymykała się z ramion, a w najgorętszych pieszczotach drwiący uśmieszek przewijał się po jej ustach.

Tak minęło kilka lat. Szereg młodzieńców, zrażonych jej zachowaniem się, odeszło w gniewnej zawziętości, by poszukać sobie towarzyszek, które w serdecznym porywie pragnęły oddać się całkowicie wybranemu mężczyźnie i pielęgnować szczęście obopólne.

Młodzieniec ów, który miał nieszczęście pokochać to zimne dziewczę, trwał na stanowisku. Lecz nadzieja, że pragnienia jego ziszczą się, słabła coraz widoczniej. W sercu jego toczyły zawziętą, tragiczną walkę miłość i męska duma. Późnemi wieczorami, siedząc nad potokiem, rozmyślał:

— Jakby to było pięknie razem. Ale dokąd ona mnie będzie wodzić za nos i dręczyć? Tak, słodka dziewczyna, ale nic z tej słodyczy nie chce dać skosztować kochankowi. Tyle lat zbiegło w walce zdobywczej, przykrościach i zawodach. Nie, stanowczo muszę zmienić swe życie i pchnąć je na nowe tory! — zadecydował.

Nazajutrz spotkał dziewczynę. Przywitał ją chłodno. Zdziwiła się tą nagłą zmianą, gdyż dotychczas zawsze na jej widok promieniał. Próbowała uśmiechnąć się doń. Lecz on jakby tego nie dostrzegał.

— Bądź taką, jaką jesteś — powiedział i odszedł.

Powędrował wprost przed siebie, w dalekie kraje, by swe nieszczęście, ból i gorzkie wspomnienia rozsypać po gościńcach.

Po długich, długich latach do miasteczka przyfrunęła wieść, że młodzieniec ów gdzieś na obczyźnie osiedlił się zamknięty w sobie, a przy nim była inna, wierna mu towarzyszka.

Zimna dziewczyna osiągnęła już pełnię kobiecej dojrzałości, a uroda jej i wdzięk młodości poczęły gasnąć. Obok



Fr: Żmurko Władztwo kobiety

niej rosły gromady młodziutkich dziewcząt, roześmianych do przyszłości, czarujących swoją świeżością.

Miłość kwitła dalej, w wiosenne wieczory słowiki tak samo jak dawniej zanosiły się czarującym śpiewem, tylko szum potoku, przypominając dawne słoneczne lata, sprawiał nieukojoną udrękę. Dziewczyna zrozumiała, że jest już bardzo daleko za temi latami, kiedy mogła czarować i zginać karki mężczyzn do swych stóp. Została wtyle, a przed nią rwał potok bujnego życia i gromada młodzieży, roześmianej do szczęścia, któremu szła na spotkanie.

Zamknęła się w sobie, odsunęła od ludzi, a samotność jej wypełniła bezdenna gorycz i przerażająca świadomość, że zmarnowała swe życie...

ZOFJA JAWOROWSKA

GŁÓD

Świat zapadł w ciężki letargiczny sen,
ziemię całunem przykrył mrok;
stłumiony słychać krok,
pod ścianą czai się cień.
Znieruchomiał,
zacisnął pięści mocno
i zęby, w ciemń nocną
posłał swój jastrzębi wzrok:
usłyszał giętki chód
i śmiech, i piosenkę
beztroską, pełną złud...
Napiął się jak łuk,
szepnął: już czas,
ograbię ten pierwszy i ostatni raz.
I nagle lęk pchnął go wprzód:
zatoczył się, padł...
Głód...

Idzie zima! Pamiętaj o głodnych.

JERZY NARWICZ

CHRYZANTEMY

Ostatnim wysiłkiem, już docna osłabły, dowlókł się na czwarte piętro.

Malarska pracownia, będąca jednocześnie i mieszkaniem, tonęła w lekkim mroku. Na szybach wielkiego okna gasły blaski dalekiej zorzy. Paweł usiadł ciężko. Dopiero teraz poczuł cały ciężar znużenia, które wlókł z sobą aż tu. W mieście ogólny ruch sugestjonował go, pchał i ciągnął, jak nurt wezbranej rzeki. Różnorodność wrażeń pochłaniała umysł, odrywając uwagę od własnych smutków. A tu, w ciszy, powyłaziły jakby z kątów wszystkie męczące myśli, wszystkie dokuczliwe troski i udręki. Każdy szczegół pracowni, dawniej tak przytulnej, dziś raził, mówił własnym językiem, prowadząc za sobą korowód przykrych wspomnień. A nadomiar to znużenie i wyczerpanie śmiertelne!

Błądził oczyma, pragnąc je o coś zaczepić. Mrok rozpajęczał się coraz gęściej i zwolna zamazywał wiszące na ścianach obrazy. Widać było tylko jakieś zbiorowisko barw nieokreślonych, wiotkich kształtów i mglistych cieni...

Z bolesną zawziętością popatrzył w kąt, gdzie stał nierozpakowany jeszcze obraz. „CZARNA BEATRYCZE", owoc rocznej pracy, wczoraj wróciła z Salonu. Nikt jej nie kupił. Nikt jej nie chce. Nadomiar przykrości nie szczędzono jej ostrej krytyki. Siedział zajęty niby czytaniem, a łowił każde słowo, jakie przed nią wypowiadali zwiedzający jesienną wystawę „młodych".

— Jakieś nowe motywy...

— Ta obdarta robotnica ma być Beatryczą proletarjatu?...

— Artysta, tworząc ten obraz, był, jak czuję, pod szczególną inspiracją...

Paweł, słuchając tych słów, musiał pochylać głowę, by ukryć twarz, wykrzywioną skurczem bolesnym. Słowa te padały nań bowiem jak razy bicza kolczastego. Ileż woli kosztowało go hamowanie się! Już chciał skoczyć i wytrzaskać po mordzie któregoś z tych nowobogackich, obżartych filistrów i dumnych parwenjuszów.

Długo myślał o gryzącej ironji, jaką t. zw. publiczność — mieszkańcy snobi — ma na ustach dla młodych artystów. Długo myślał o przepaści, jaką od wieków wykopano między sztuką a życiem codziennem. A mogłoby przecież być tak pięknie i szczęśliwie! Potrzeba tylko więcej zrozumienia i ukochania tego, co podniosłe i wiecznie pięknem pozostanie.

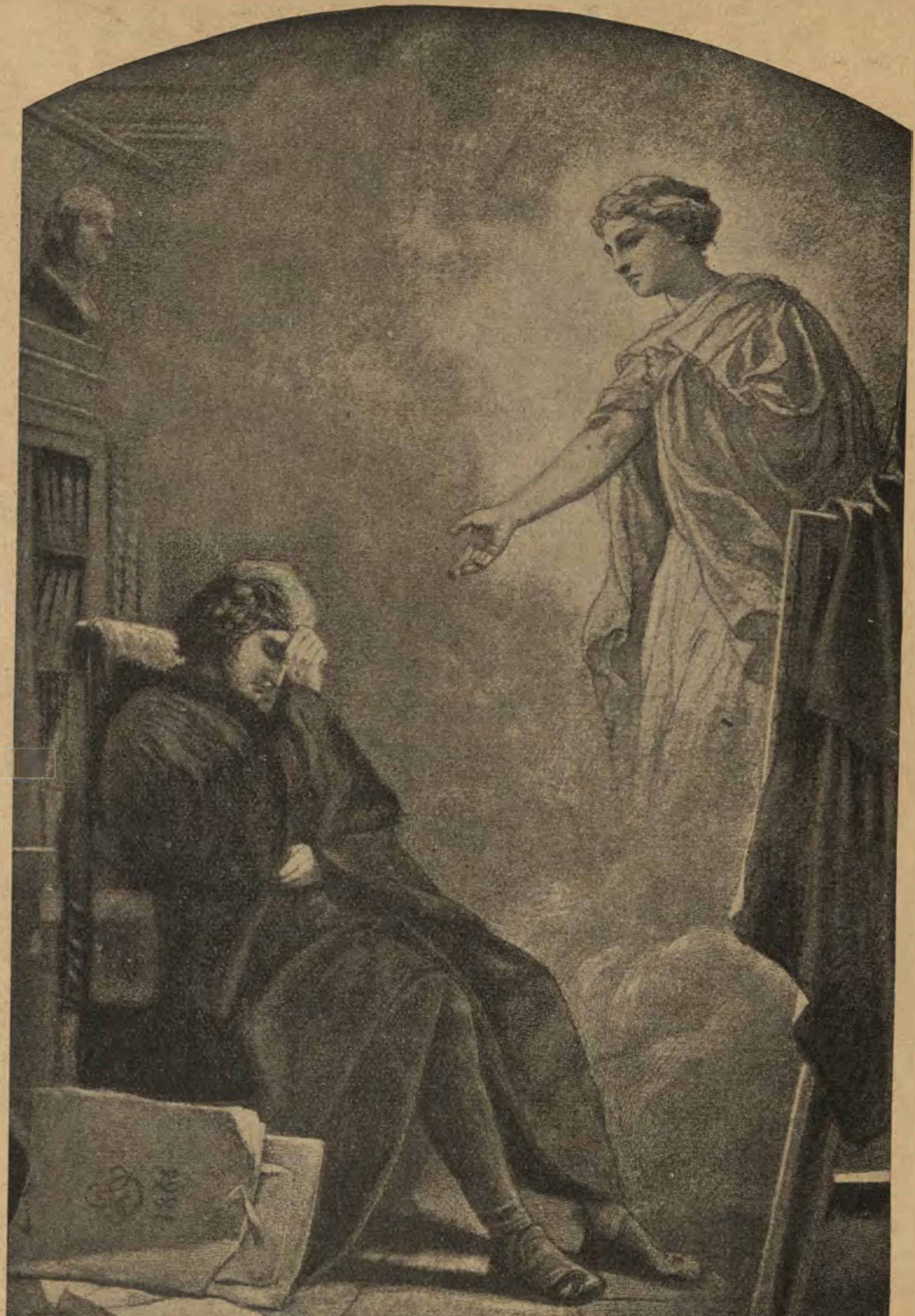
Tydzień żył w gorącem oczekiwaniu: a może?...

— Dziś święto umarłych — zatrzepotało się w mózgu nagłe przypomnienie.

Przysunął krzesło do rozpiętego na sztalugach płótna.

— Musia... — wyszeptał cichutko.

Tak, już rok... A zdaje się, jakby to było onegdaj. Pamięta ów pogodny ranek. Wyszedł, aby ją spotkać jak codziennie. Zawsze o tej porze bywała nad stawem, karmiąc swem śniadaniem łabędzie. Później razem szli do Akademji. Z radością, jak dziecko, wdychała pachnący, cienisty chłód miejskiego ogrodu. Gładziła palcami strzępiastą główkę białego chryzantema, rozpiętego jak motyl na klapie swego płaszcza. Paweł lubił patrzeć na jej twarzyczkę piękną, białą i przejrzystą. Śliczne myślące czoło odcinało się ostro od czarnego turbanika. O, tylko jej oczy niepokoiły go już wtedy! Pociągnięte lekką mgiełką melancholji i błyszczące, patrzyły gorącą głębią. Podziwiał u tej



Artur Grottger pinx.

„Pójdź w dolinę łez..."

młodej dziewczyny miłość życia i niegasnący, zawsze świeży entuzjazm, wreszcie ukochanie tego wszystkiego, co piękne i dobre. Umiała ponadto mówić o tem tak porywająco, z takim dziewiczym wdziękiem, że zacichało w jednej chwili w Pawle wszystko, a dusza jego w drżeniu zachwyconem tuliła te słowa głęboko, jak klejnoty najwznioślejszych myśli.

— Patrz — zatrzymała go raz w alei — jaki cudowny motyw malarski!

Do rozrosłego, o potężnych ramionach, klonu tulił się wiotki krzew jaśminu.

Długo patrzyli.

— Spójrz — dodała — na to oddanie się słabego sile opiekuńczej. Ile w niem wiary i ufności. Odwieczne prawo. Ale jakże trudno uchwycić na płótno tę słodycz oddania się. Przyjdę popołudniu i naszkicuję...

Niestety, już nie przyszła...

— Więc to już rok? — uświadamiał sobie ze zdumieniem bolesną rzeczywistość.

Sama prosiła, aby nazywał ją Musią. Istotnie, była bardzo podobną do biednej Baszkircewy. Ten sam u niej zapał, te same ukochania, pragnienie sławy, a obok tego ponad wszystko silniejszy lęk przed śmiercią. Dla piękna chcę żyć — mawiała ze złudnym optymizmem.

W ostatnich tygodniach coraz częściej mówiła o śmierci. Chudła w oczach. Przestała uczęszczać do Akademji. Nie wychodziła wogóle. Ogarnęła ją gorączka pisania. Nie pomogły prośby i upomnienia gospodyni, od której odnajmowała cichutki pokoik. Z wypiekami na twarzy, z błyszczącemi oczyma siadywała dopóźna w noc przy stole i pisała, pisała...

— Mój panie, — opowiadała Pawłowi poczciwa kobiecina — cóż poradzę? Błagam, zaklinam, aby się szanowała. Słucha, popatrzy na mnie ze słodkim uśmiechem, pogłaszcze po twarzy i kładzie się do łóżka. Gdy uśnie cały dom, wtedy znów wstaje i długie godziny pisze i pisze. Co pisze, nie wiem. Pukam do drzwi: cisza. Ale widzę światło i ją siedzącą w bieliźnie.

Upominał, prosił ją, by mu nie czyniła tem postępowaniem przykrości.

— Nie, Pawle, — uspakajała go pieszczotliwie — nie odmawiaj mi tej ostatniej radości. To co robię zostanie dla ciebie. Nie chcę, by mnie już nic potem z życiem nie łączyło. To byłoby okropne. Chcę, abyś nie zapomniał. O, jakże przykrem być musi pogrążenie się w wieczną niepamięć, samotnie iść tam w bezkresy, skąd już nigdy niema powrotu... — mówiła z cichą rezygnacją i tym smutkiem człowieka, który, acz namiętnie ukochał życie, pogodził się jednakże z prawem nieustannego przemijania.

Tulił ją wtedy drżącą jak dziecko. Kochał, jak nikogo na świecie. I ból przeogromny darł mu serce na strzępy, że prysnąć musi wizja tego szczęścia, jaką śnił dotychczas. Już nic nie zdoła kochanej przy nim zatrzymać. Zostanie sam, a życie będzie dlań udręką. Wprawdzie zostawała jeszcze Sztuka, ta zimna kochanka, której objęcia już nieraz przejęły go chłodem. Lecz musi, musi wytrwać!...

Gdy klęcząc przy łóżku, całował dłonie Marji, ona wskazała mu zeszyt, leżący na nocnej szafce:

— To dla ciebie, Pawle.

Codziennie, jak rok długi, postać zmarłej towarzyszy mu bezustannie. Ciągle drży w uszach jej głos czysty, miękki i ujmujący. Codziennie odczytuje słowa w dzienniku, słowa ostatnie...

Malował jej portret. Takiej, jaką była w chwilach zamyśleń się, w chwilach nieopisanej tęsknoty, gdy oczy jej, zda się, wypatrywały zjawy Nieśmiertelnego Piękna. Nie miał fotografji, ale jego

serce, kochające serce artysty, nosiło obraz Musi wierny i żywy.

Klęknął. Przywarł gorącemi usty do płótna. Przytulił je do białej plamy twarzyczki. Zaszkliły mu się oczy w bezgranicznym smutku. I pozostał tak długo, długo, nieruchomy w ciemności, jak posąg najgłębszego żalu i miłości...

— — — — — — — —

Ocknął się. Rozłożony naprzeciw, na obszernym placu, Luna-Park zaczynał swój numer wieczorny. Szczękała górska kolejka. Długie, świetliste ogony rakiet darły ciemny granat nieba. Mokremi oczami popatrzył na to rojowisko ludzkie, bezmyślne, szukające pustej i taniej rozrywki.

— Zaduszny dzień...

Przypomniał sobie o kwiatach dla Musi. Tak, cały dzień schodził po mieście, aby choć parę groszy pożyczyć. Spodziewał się, że spotka któregoś z przyjaciół. Ale z przyjaciółmi to już tak bywa, niestety, że gdy są potrzebni, to nawet na lekarstwo nie znajdziesz jednego. Już chciał iść do Jastruna, którego obraz „Pieprzyk" zakupił jakiś stary, bogaty lowelas. Ale wstrzymał się wporę. Brzydził się takiemi pieniędzmi. Nie mógł kalać niemi swej czystej miłości.

Nie pamięta, gdzie był. Czuł tylko znużenie ogromne i przejmującą wilgoć w butach. Padał drobny deszcz, to uświadamiał sobie niejasno. A teraz piękny wieczór rozesłał się ponad miastem.

— Kwiaty dla niej, wielkie chryzantemy!... — To była teraz jedynem pragnieniem. Najgorętszem. Nie czuł już zimna, ani głodu, ani zmęczenia.

Zbiegł żwawo po schodach.

Znów porwał go ruch ulicy i poniósł. Nie miał sił opierać mu się. Szedł posłuszny, gnany postanowieniem, które mu dyktowało wielkie, niezmożone uczucie.

— Dalej, dalej!

Z za szyb patrzą ciastka z kremem, tu owoce południowe, tam rumiane bułki...

— Dalej, dalej! Aby nie widzieć i nie męczyć się.

Z otwartej bramy, którą mijał, buchnęła szeroką falą woń świeżego pieczywa. Aż się zatoczył.

Przystanął.

— Choć powąchać, mocno, głęboko, do najcieńszych kanalików płuc wciągnąć ten przesłodki zapach!...

Mkną po lśniącym asfalcie lakierowane limuzyny. O, różowa małpka, puszysta jak niedźwiadek, chyboce się nad kierownicą. Roześmiane twarze pań, otulone wysokiemi kołnierzami... Błyszczące oczy...

Mija jakąś parę. „Ona", z podniesioną główką, coś szczebiocze do towarzysza i niedbałym ruchem wrzuca do wiszącego kosza niedojedzony podwieczorek. Rozchyla się papier i Paweł widzi dużą, śliczną, z daleka pachnącą kanapkę...

Wszedł do ciemnej bramy, później w podwórze.

— A, pan maljarz — powitał go zgarbiony lichwiarz. Ratował studentów w ostatniej biedzie, ale i darł z nich przy tym niezgorzej. — No, co pan maljarz powi? — wdzięczył się obłudnie.

Paweł ze wstrętem popatrzył na żółty czerep żyda, na rozbiegane wiewiórcze oczy i brodę rozkudłaną.

Milcząc, szybko zdjął kamizelkę i cisnął ją na stół.

— Ile to pan za nią chce? — handlarz czekał z ironicznym uśmieszkiem. — Podszewka na plecach na glanc wytarta... — dogadywał, oglądając przezornie i śmiesznie mrugając powiekami. — O, sprzączki niema... a guziki, oj! pierwsza klasa róg... drewniany. Kieszeń rozdarta, pewnie od zegarka?... — zakpił. — He, he, he...

Paweł milczał. Czuł nieprzezwyciężony wstręt do handlu, tak silnie rozwinięty u szczerych artystów, a zwłaszcza

do tego brudu lichwiarskiego, ohydy niskiego życia. Docinki żyda kłuły go boleśnie. Chwilowa nędza, zmuszająca go do szukania tutaj pomocy, była, zaiste, w jego pojęciu, poniżającą nad wyraz. Lecz opanował się.

— Dwa złote... — szepnął przymilnie lichwiarz.

Rozległ się metaliczny dźwięk monety.

Ścichło serce Pawła w wielkiej radości.

Na kliszę jego mózgu padł obraz wielkich chryzantemów.

Znów roztoczył się przed nim długi kanał ulicy.

Paweł biegł do najbliższej kwiaciarni. Ale ulica dziwnie się przed nim wydłużała. Miasto wyciągało przed oczy cały zapas pokus, aby nęcić, wabić, kusić i męczyć zarazem.

Wystawy buchały olśniewającem światłem. W oknach piętrzyły się piramidy czekolady i cukrów. Z fryzowanych papierków wyglądały brzuszki ciastek, barwnie inkrustowanych. Ciężkie kiście winogron lśniły jak zielone lampiony. Tłoczyły się przed szybą pękate i jak rolnik rumiane chleby. Nad jadłodajnią zachęcająco mrugała z czerwonych liter spięta reklama: „Obiad z 3 dań jeden złoty. Tu najtaniej!"

Odezwał się w Pawle oddawna tłumiony głód. Kwiaciarnia była jeszcze daleko. Gniotąca pustka w żołądku plątała mu nogi. Chłód obrzydliwie pełzał po plecach. Artystyczny wzrok, chwytający wszystko zachłannie, sprawiał tem niewypowiedziane męki.

— Jeden złoty... — Paweł marzył cichutko, z upragnieniem.

Stanął przed oknem i zajrzał do wnętrza.

— Talerz zupy gorącej, chleba ile kto chce. Za resztę kwiatów...

Wtem zakwiliła mu w pamięci ostatnia prośba Musi:

— Gdy umrę, przynieś mi dużo, dużo chryzantemów...

Oprzytomniał. Daleki, z zaświatów płynący głos był silniejszy, niż pokusy bogatych wystaw.

Oderwał się od okna i pobiegł.

Stanął wśród olbrzymich koszów i wazonów. Znieruchomiał w zachwycie. Najwyszukańsze barwy mieniły się i grały, niczem obicie pokoju, przez najwytworniejszy genjusz artysty poczęte. W powietrzu wisiała ciężka woń, jak w greckiem gyneceum. Paweł pożerał oczami to piękno, tak niedosiężne dlań dzisiaj.

— Pieniądze, pieniądze... — myślał z goryczą i buntem. Wziąłby wszystkie kwiaty i zawiózł na grób Musi.

Po przeciwnej stronie ulicy, w kawiarni grano tango ostatniej mody. Zdawało mu się, że świat szydzi z jego nędzy i wyśmiewa jego miłość. Nurt życia, zda się beztroskiego, rwał naprzód niepowstrzymany, równie silny jak śmierć.

Ale Paweł zapomniał już o wszystkiem. Świat przestał dlań istnieć. Ucichła ulica, ucichła rozgwarzona kawiarnia, ucichło miasto całe.

Subtelna woń chryzantemów, nad któremi się pochylił, obejmowała go niewypowiedzianie słodką pieszczotą. Radował się przeczuwaną radością ukochanej. Drżącemi palcami ujmował wilgotne łodyżki, z miłością patrzył na główki pierzaste, bielusieńkie i tak niewinne, jak twarzyczka zmarłej Musi...

CHARAKTER ŻEROMSKIEGO — PAMIĘĆ DOZNANEJ URAZY

W Nałęczowie, na niskiem wzniesieniu, t. zw. „Górze Armatniej“, stoi chata Żeromskiego. Dziś zamknięta, mieści pamiątki po wielkim pisarzu: meble, rękopisy, podręczną bibljoteczkę i obrazy. Zwiedzana bywa jako muzeum.

Pod oknem stoi stół prosty, ongiś warsztat pisarski twórcy „Popiołów“.

Od chaty biegnie dróżka, prościutko przez ogród, do mauzoleum syna Adama.

Jak wielką była miłość ojcowska pisarza, jak bolesną strata, ile nadziei pogrzebała śmierć — świadczy książka, wydana przezeń w ograniczonej liczbie egzemplarzy dla „grona osób, które łaską miłości, przyjaźni i opieki“ darzyły chłopca[1]).

Czyja w tem wina, że śmierć zerwała przedwcześnie ten kwiat młodzieńczego życia?

Było to w Zakopanem. Pewnego dnia jesienią syn, po ostrej naganie i wymówkach ze strony matki, urażony w swej ambicji, zbiegł w góry. Pisarza w domu nie było. Gdy wrócił, nakazał poszukiwania. Sprowadzono chłopca dopiero po kilku dniach napoły martwego z zimna i wycieńczenia. Słaby organizm, z odziedziczoną po ojcu gruźlicą, uległ.

Tak przedstawia tę sprawę oficjalna biografja.

To dziwne, iż Żeromski w swem przepięknem wspomnieniu podaje inne przyczyny a wogóle przykrem milczeniem pomija swoją żonę.

A śmierć ta stała się, jak wiadomo, początkiem konfliktu między nim a p. Oktawją, — konfliktu, zakończonego wreszcie rozstaniem się a później zerwaniem małżeństwa.

———

[1]) „O Adamie Żeromskim wspomnienie“, 1919.

Z korespondencji widzimy, jak wiele Żeromski zawdzięczał swej żonie, czego zresztą nie omieszkał otwarcie podkreślać. Na progu jego karjery pisarskiej ułatwiała mu dostęp do redakcyj pism, wystarała się o posadę pomocnika bibljotekarza w Rapperswilu, wogóle była poświęcającą się pielęgniarką jego zdrowia i rozumną opiekunką talentu.

I oto Żeromski nie zawahał się zerwać tak pięknego, jedynego w swym rodzaju i silnego związku. Ból jego, jak z tego wynika, był przeogromny, strata niepowetowana, której nie mógł swej żonie w żaden sposób przebaczyć i zapomnieć.

Pani Oktawja nie zdołała przeżyć tej rozłąki i pokrzywdzenia. Umarła w Nałęczowie, i pochowano ją na cmentarzu parafjalnym w Bochotnicy Kościelnej, do której zdrojowisko należało.

Mimowoli narzuca się analizie podobieństwo, zachodzące między tragedją omawianą a tragedją rodzinną, jaką Żeromski przeżył w młodości. Syn i siostra. Olesia, ambitna i wrażliwa, urażona przez ojca, shańbiła nazwisko, uciekła z domu i zrujnowała sobie życie. Nieomal to samo uczynił syn.

W podobieństwie tych faktów tkwi zastanawiająca, fatalna siła atawizmu.

Tak, zawzięta pamięć doznanej urazy była wybitną cechą charakteru Żeromskiego. Nigdy nie wyrozumiał, nie przebaczył i nie zapomniał postępku siostry, a nawet zabraniał wymawiać w swej obecności jej imię. Nie przebaczył i żonie.

Mauzoleum syna kazał zbudować nawprost okna, przed którem zwykł był pracować. Pobudką tej decyzji była nietylko rzewna pamięć o synie, nietylko pragnienie, by w serdecznem złudzeniu

„Góra Armatnia“ rozbrzmiewała nadal, jak ongiś, tupotem nóg chłopięcych i peanem młodości, która się tak tragicznie przerwała. Mauzoleum miało być jakby bezustannem przypominaniem, wiecznie czuwającą pamięcią. Aby każdej chwili, przebywając czy to w chacie, czy ogrodzie, pamiętał i nigdy nie zapomniał doznanej urazy.

wszystko, aby związek ten rozerwać doszczętnie. Nie cofnął się przed krokiem tak konsekwentnym, jak zmiana wyznania, która postawiła go w gronie pisarzy-odszczepieńców. A wiemy, jak silne są u nas kanony kościoła katolickiego. Żaden z naszych pisarzy nie porwał się na krok tak śmiały i brzemienny w przykre następstwa. A tembardziej pisarz wybitnie narodowy, duchowy wódz swego pokolenia.



Widok z chaty Żeromskiego na mauzoleum syna Adama

A była ona, zaiste, bardzo głęboką i żywą, skoro niczem wobec niej okazała się pamięć przeżytych z żoną tylu najpiękniejszych lat, skoro podeptała ofiary i poświęcenie się kochającej kobiety, skoro wreszcie potargała nawet proste ludzkie przywiązanie się i względy etyczne, na które Żeromski był tak bardzo czuły.

Nie dosyć tego. Żeromski uczynił

Żeromski tem wyrzekł się nawet możliwości spoczywania kiedyś przy boku tak umiłowanego syna.

Jest to jeden z licznych dowodów omawianej cechy charakteru Żeromskiego.

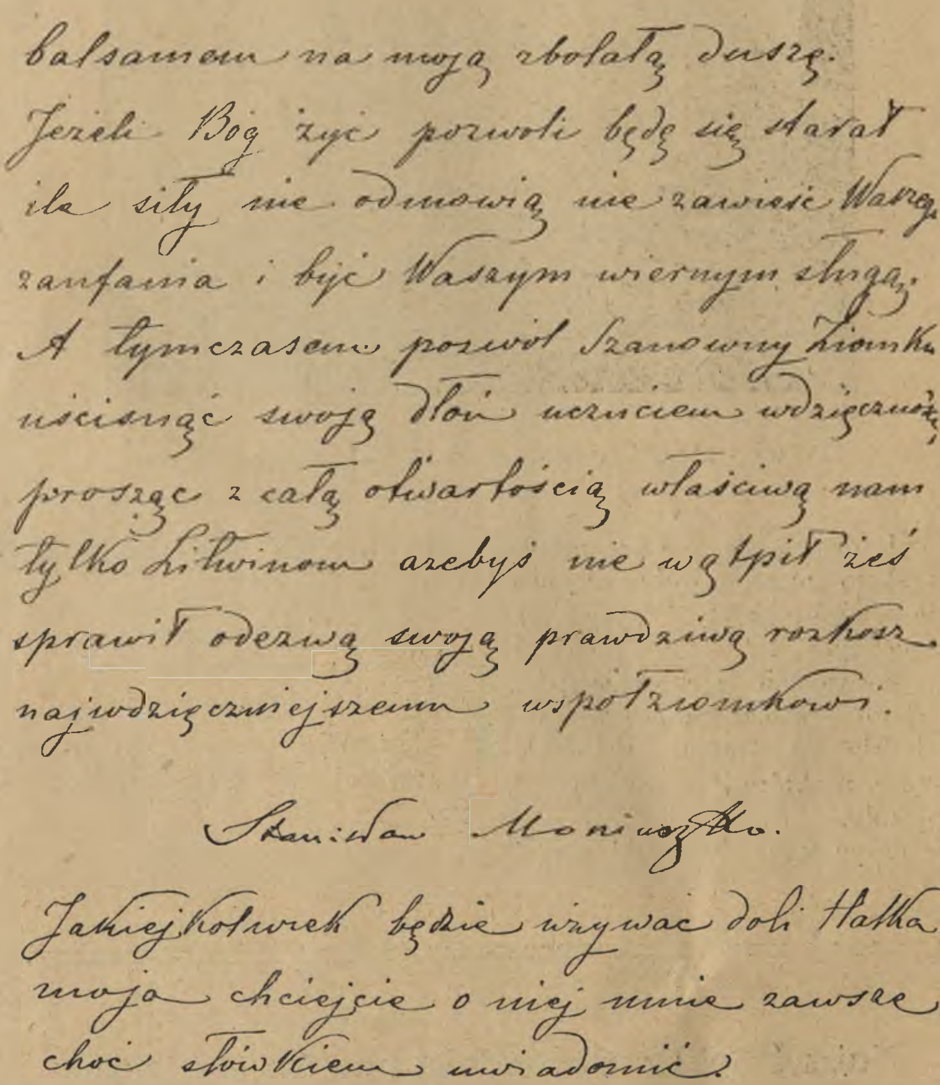
S. S.

FELIKS KĘCKI

NIEZNANY LIST STANISŁAWA MONIUSZKI

Z wyblakłych i pożółkłych już dzisiaj listów Stanisława Moniuszki spogląda na dzisiejsze pokolenie twarz człowieka - artysty, który z wrodzoną sobie łagodnością i miękkością usposobienia znosił cierpliwie wszelkie trudy i troski nader pracowitego swego żywota. Listy te są zwierciadłem życia i psychiki Moniuszki, gdyż pieśniarz nasz zawarł w nich swoje uczucia, poglądy i właściwości charakteru.

Jestem pewien, że wśród czytelników znajdą się liczni wielbiciele Moniuszki, a także mając na uwadze, że każdy najmniejszy dokument może dla biografa stanowić nieoszacowaną wartość, przytaczam poniżej tekst — dotyczas nieznanego — listu in extenso. Jest to list, pisany do Wincentego Janowskiego, długoletniego prezesa Towarzystwa św. Wincentego à Paulo w Warszawie; w r. 1936 został nabyty przez Sekcję im. St. Moniuszki przy Warszawskiem Towarzystwie Muzycznem. Treść omawianego listu jest następująca:


balsamem na moją zbolałą duszę.
Jeżeli Bóg życie pozwoli będę się starał
ile siły nie odmowią nie zawieść Waszego
zaufania i być Waszym wiernym sługą.
A tymczasem pozwól Szanowny Ziomku
uścisnąć swoją dłoń uczuciem wdzięczności
prosząc z całą otwartością właściwą nam
tylko Litwinom, ażebyś nie wątpił żeś
sprawił odezwą swoją prawdziwą rozkosz
najwdzięczniejszemu współziomkowi.

Stanisław Moniuszko.

Jakiejkolwiek będzie używać doli Halka
moja chciejcie o niej mnie zawsze
choć słówkiem uwiadomić.

Ze zbiorów Sekcji im. St. Moniuszki Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego

Łaskawy Panie!

Od 20 Lutego czekam ciągle jakiejkolwiek wiadomości o mojej Halce, a nie mając nikogo znajomego w Moskwie dotąd ani słówka dowiedzieć się nie mogłem[1]).

Sądź więc Drogi Panie jak w porę list Wasz braterski serdecznie mnie pocieszył. Dziękuję za sprawozdanie, dziękuję i za słowa pociechy i za Wasze sarce, które tak korzystnie dla mnie odgadło myśli moje, ich cel i ich nagrodę. Z niej to czerpałem natchnienie, z niej Halka powstała, z niej cała moja muzyka. Źle byłoby z Waszym Grajkiem[2]) *żebyście go dziś odtrącili.*

[1]) Sprawa, o której pisze Moniuszko, dotyczy wydania „Halki" przez firmę Jurgensona w Moskwie. Powodzenie tej opery na scenie moskiewskiej w r. 1867 zachęciło znaną firmę rosyjską do wydania wyciągu fortepianowego do śpiewu, oraz pojedyńczych numerów, także do śpiewu (z tekstem rosyjskim).

[2]) Aleksadra Moniuszkowa nazywała swego męża „Grajkiem". Nazwy tej Moniuszko niejednokrotnie używał w swych listach, pisanych do przyjaciół.

Każde słówko listu Waszego było balsamem na moją zbolałą duszę. Jeżeli Bóg żyć pozwoli będę się starał ile siły nie odmówić nie zawieść Waszego zaufania i być Waszym wiernym sługą. A tymczasem pozwól Szanowny Ziomku uścisnąć swoją dłoń uczuciem wdzięczności, prosząc z całą otwartością właściwą nam tylko Litwinom[3]) *ażebyś nie wątpił żeś sprawił odezwą swoją prawdziwą rozkosz najwdzięczniejszemu współziomkowi.*

Stanisław Moniuszko.

Jakiejkolwiek będzie używać doli Halka moja chciejcie o niej mnie zawsze choć słówkiem uwiadomić. — Kwiecień 15 d. 1869. Nowy Świat 39.

[3]) To uważanie się za Litwina przez Moniuszkę, który był i czuł się zawsze Polakiem, należy rozumieć jedynie jako zwrot retoryczny. Podobnie i Mickiewicz użył zwrotu: „Litwo, ojczyzno moja", a nikt nie wątpi o polskiem pochodzeniu wielkiego poety.

IRENA TITOW

ZABRAKŁO RÓŻ

W ogródku moim zabrakło róż,
więc tylko astry posyłam ci;
cichy to symbol zgaszonych burz,
smutny to uśmiech szczęśliwych dni.

Oddawna wiosny uleciał szał,
upojne lato minęło już,
ostatnie płatki wiatr zimny zwiał...
W ogródku moim zabrakło róż.

ZBIGNIEW STRUMIŃSKI

ARTYSTA NA WOJNIE

Rzecz o Włodzimierzu Koniecznym

Gromkie wezwanie do zbrojnego czynu, rzucone w sierpniu 1914 r. przez Józefa Piłsudskiego, ściągnęło w szeregi młodzież różnych stanów, zawodów, zapatrywań i wieku.

Ci zapaleńcy, — a tylko tacy tworzą Czyn! — podjąwszy walkę o oswobodzenie ojczyzny, nanowo wskrzesili chwałę polskiego oręża.

Nie brakło wśród nich i artystów, którzy, jak wiemy, posiadają osobliwą wrażliwość na entuzjazm powszechny, na masowe porywy patrjotyczne, a przedewszystkiem — na tragizm niewoli.

Jest coś bezmiernie wzruszającego, coś przejmująco dostojnego w tem, że oni właśnie, jakgdyby dla zadokumentowania czynem głoszonych w swej sztuce idej i haseł, ponieśli ofiarnie swą młodość i zapał, swe siły i zdrowie, a wreszcie najcenniejszy z darów — życie.

Inter arma silent musae. Opuścili swoje samotnie, tchnące bólem i najwyższem szczęściem tworzenia zarazem, pełne atmosfery przeżyć serdecznych; przerwali swe prace, gdyż, jak poczuli, w dobie doniosłych wydarzeń dziejowych jest coś cenniejszego, niż własne życie i zaczęte dzieło.

Tak, różne są drogi, wiodące do służenia wielkiej idei i do nieśmiertelności.

Do ich grona należy Włodzimierz Konieczny.

Jest on jedną z najpiękniejszych postaci, harmonizującą w sobie ideał artysty, żołnierza i człowieka.

Z wybuchem wojny wstąpił do Legjonów i w drużynie nowotarskiej przetrwał całą chlubną kampanję I Brygady.

Dość bogaty dorobek artystyczny Włodzimierza Koniecznego nie znalazł przed wojną należytego uznania i zrozumienia. Powodem tego w głównej mierze było to, że artysta unikał utartych szlaków, trzymał się raczej na uboczu i pracował w ciszy. Jego ówczesne twory noszą znamię głębokich poszukiwań i dociekań, prób tytanicznych realizacyj w formie jaknajbardziej prostej, spokojnej i łagodnej. Nad wyraz szlachetny w swych porywach i szczery, wielce wymagający w ich urzeczywistnieniu i surowy dla siebie, nie zboczył na drogę łatwą, która tak kusi i psuje czasem wielkie talenty. Szukał badawczo u źródła prymitywów poczynania formy, jako wyrazu nieskomplikowanego, aby najwznioślejsze, niekiedy nawet mistyczne refleksje, ująć w spokojne płaszczyzny i łagodne, płynne linje.

Nie zdążył wypowiedzieć się całkowicie z przeżywanych sumiennie wysiłków i dążeń, ale to, co pozostało z czynów jego marzeń, głośno i dobitnie świadczy, że sięgał najwyższych szczytów artyzmu. Najwznioślejsza pasja rządziła jego duszą. I był przedewszystkiem — co w sztuce najważniejsze — sobą.

Chwalił wojnę, uważając ją za dalszy ciąg swego artyzmu. Ale wojna nie sprzyja artystycznej twórczości, wymagającej ciszy, skupienia, swobody i niezależności duchowej.

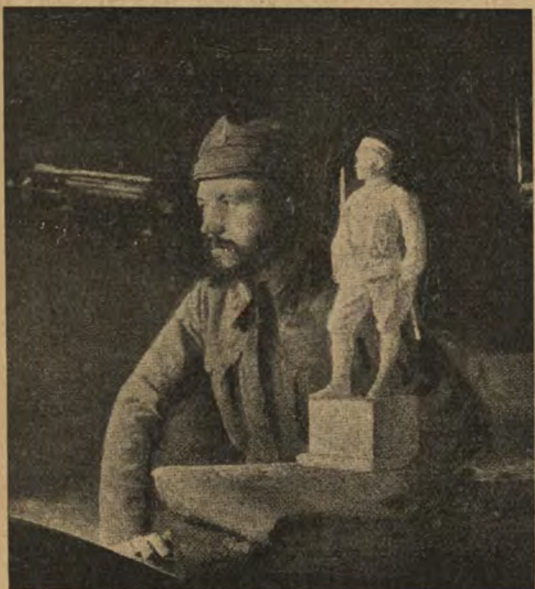
Znana jest w dziejach bojów legjonowych niezmiernie ciężka, najcięższa ze wszystkich, walka o Polską Górę, podczas której poległ kwiat legjonowego oficerstwa.

Komendantem jednej z kompanij był porucznik Włodzimierz Konieczny.

„Przepadł bez mogiły i to jest jedyny symbol z życiem jego związany. Bo wartości, z któremi przychodził, mogiły znać nie mogą. On wypadł tylko z sze-

regów, ale w pracy ich pozostał żywą wartością".[1]).

Jako człowieka cechowała go nadewszystko wielka jednolitość charakteru, wierność swojej zasadzie życiowej i niezwykła pogoda, jaką wnosił w obcowanie z ludźmi.



Włodzimierz Konieczny i statua „Legjonista". Artysta i żywy model zginęli.

Porzucił swą pracę twórczą w pełnem znaczeniu tego wyrazu w okresie życia najbardziej płodnym i dla sztuki wartościowym, kiedy to twórczość osiąga punkt kulminacyjny.

Siła, napięcie, przebogate doświadczenie życiowe i artystyczne, sprężona twórcza energja, podejmowanie wielkich zadań — oto bezcenne cechy tego okresu.

I ciśnie się na usta pytanie, co jest więcej wartościowe, bardziej doniosłe i obfitsze w skutki: czy cicha praca artystyczna, wszczepiająca w miljony serc wielką ideę, czy szereg czynów wojennych tegoż artysty?

Próbę wszelkich wartości przeprowadza czas. Od natężenia życia danej doby, od zadań, wobec których staje i wydarzeń dziejowych, jakie nią wstrząsają — zależy wartość, szacowność, potrzeba i konieczność takiej lub innej ofiary ludzkości. I tylko taka, a nie inna ofiara albo czyn są w danej chwili konieczne, wartościowe, nieocenione i niezbędne.

Wszyscy jesteśmy pionkami swoich czasów i czynić musimy to, co one nam nakazują. Wprawdzie tkwi w tej konieczności niezmiernie głęboki tragizm, że i artyści, najpiękniejszy kwiat ludzkości, wciągani są w ten przepotężny rydwan dziejów i czynić muszą to, co jest dalekie od ich powołania. Ale gdy podniesie się ruch masowy, wówczas jednostka jest tylko jakoby słomką, porwaną przezeń i niesioną nurtem niepowstrzymanym.

Niekiedy buntuje się przeciw temu nasz indywidualizm, ale buntuje się, niestety, daremnie.

Setki artystów pochłonęła wojna. O, tak. I tych młodych, zapowiadających się świetnie, i tych dojrzałych, którzy porzucić musieli swe dzieła w najbujniejszym okresie tworzenia...

Jest to strata niepowetowana przenigdy. Tak rozumujemy. A jednak — jak kiedyś pięknie powiedział Jerzy Duhamel, parafrazując chór krzyżów na cmentarzu żołnierskim — *„jest coś cenniejszego, niż życie, jest coś bardziej niezbędnego niż życie... skoro my tu jesteśmy"...*[2])

---

[1]) Adam Dobrodzicki.

[2]) Żywoty męczenników (1914—1919).

Złóż grosz na Fundusz Obrony Narodowej.

Dr. W. M.

MIŁOŚĆ W DZIECIĘCTWIE

Nigdy nie jest się zbyt rozrzutnym w okazywaniu dziecku miłości i przywiązania.

KARIN MICHAELIS

Miłość, ów najsilniejszy motor istnienia, odgrywa w życiu człowieka rolę nader doniosłą. Wyznawcy panseksualizmu w przyrodzie posuwają się nawet do twierdzenia tak śmiałego, że jest ona sensem bytu wogóle.

W życiu dziecka, w okresie, kiedy kładą się podwaliny pod przyszły ustrój duchowy i fizyczny, jest ona czynnikiem decydującym. Płeć bowiem, od wczesnego dziecięctwa począwszy, wpływa na kształtowanie się osobowości. Zdaniem Freuda wpływy te są tak silne, że rozciągają się nawet na rozwój takich cech osobniczych, jak indywidualizm, uczucia społeczne, zmysł estetyczny i moralny i t. p.

I zjawisko bardzo dziwne, że zagadnienie tak doniosłe, jak właśnie rola miłości w dziecięctwie, w specjalnych podręcznikach psychologji dziecka bywa przemilczane lub, w najlepszym razie, zbyte kilku słowami. A jak ona jest ważna i w wychowaniu dominująca, jak niedopatrzona brzemienna w smutne następstwa — postaramy się niżej przedstawić.

Wiadomo, że pierwszą i najprostszą metodą poznawania jest naśladownictwo. W życiu dziecka jest ono jedynym czynnikiem kształcącym. Z niego dziecko wyciąga pierwsze nauki. Najbliższym zaś wzorem postępowania i niezachwianym autorytetem są rodzice. W ich czynach dziecko szuka instynktownie wyjaśnienia zjawisk otaczającego je świata. Oni są wskaźnikiem pierwszych zasad moralnych i etycznych.

Charakterystyczną cechą dziecięctwa jest wiara: mój ojciec i moja matka są najpiękniejsi, najmądrzejsi i najlepsi. W niej tkwi źródło mocy nieodpartej rodzicielskiego przykładu. Chwycony wówczas jakiś nietakt kiełkuje długo w podświadomości dziecka i, pleniąc się coraz silniej i bujniej, urabia charakter.

Wprawdzie jednostki o silnym indywidualizmie, osiągnąwszy dojrzałość i znajomość praw życia, kosztem zmagań się z sobą, wyzbywają się zczasem tych dawnych „naleciałości", lecz u słabych bywa wręcz przeciwnie.

Widzimy tedy, że te czujne, ciekawe i chciwe poznania oczy — niewinne oczy naszych dzieci — ciągle nas śledzą i podpatrują. Pamiętajmy o tem zawsze!

Okres dziecięctwa jest szczególnie podatny pod wpływy seksualne. Konflikty, wynikłe później na tem tle, łatwo doprowadzić mogą do zaburzeń duchowych i fizycznych. Jeden objaw szkodliwy, błahy napozór i dzięki temu przez rodziców zbagatelizowany, może niejednokrotnie zaważyć ciężko na przyszłości dziecka, zachmurzając ją lub nawet prowadząc do nigdy niepowetowanej ruiny.

Powierzchnia ciała dziecka posiada charakter wybitnie pobudliwy. Pobudliwość ta, w miarę dojrzewania płciowego, słabnie zwolna, gaśnie zaś całkowicie w chwili, gdy ono objawi się w formie skończonej. Wrażliwość na podniety płciowe zostaje umiejscowiona wówczas w organach specjalnych.

Pierwszem źródłem podniety płciowej jest ssanie[1]). Stąd tak intymny sto-

---

[1]) Ma ono i dla karmiącej wielkie znaczenie. Instynkt naturalny nakazuje w tym czasie wstrzemięźliwość. I niektórzy z biologów na tej podstawie utrzymują, że natura właśnie, by wynagrodzić matce brak płciowej rozkoszy, pły-



Stanisław Wyspiański
Macierzyństwo

niet, dziecko popada w szczególny autoerotyzm, dla którego terenem przeżyć seksualnych jest ono samo. Freud pisze o tem następująco: „Jaźń dziecka jest właściwym i pierwotnym rezerwoarem libido“.

Wtedy to dziecko bywa najwrażliwsze. I wtedy, jeśli wyłoni się jakieś zboczenie, to, dzięki właśnie silnemu napięciu zainteresowania w kierunku płciowej podniety, zboczenie to umacnia się i utrwala. Od tego do zgubnych nałogów już tylko krok jeden.

Przedewszystkiem baczną uwagę zwracać należy na częsty u dziecka nawyk bawienia się narządami płciowemi. Przedwcześnie obudzona świadomość płciowa stać się może przekleństwem dalszego życia. Niedopatrzeniem lub zbagatelizowaniem tego objawu wyrządzamy dziecku nigdy niepowetowaną krzywdę.

sunek między matką a dzieckiem, jaki zwykł się zawiązywać między dwojgiem osobników współżyjących cieleśnie.

Gdy wkońcu zbliżenie to zostaje zerwane, pragnienie zewnętrznego zaspokojenia doznawanych kiedyś uczuć zapada w duszę dziecka. Pragnie ono stan dawniejszy, przyjemny i miły, wszelkiemi sposobami odtworzyć. W tem zjawisku tkwi punkt wyjścia wielkiej podatności na podrażnienia, jakie wokół na dziecko czyhają. Świadomość płciowa jest wtedy jeszcze śniąca, niejasna. Wobec braku przedmiotu pod-

Onanja z nawyku i przed osiągnięciem dojrzałości płciowej jest niezmiernie szkodliwym nałogiem. Wypacza charakter, obniża zmysł etyczny i moralny, przytłumia sprawność mózgu i niszczy zdrowie. Lękliwość i nieśmiałość, pociąg do samobójstwa i pesymizm, podejrzliwość i manja prześladowcza, słaba pamięć i tępota umysłowa, neurastenja i hipochondrja oraz analogiczne zboczenia są tego najoczywistszym dowodem.

Dziecko, pozbawione sądu krytycznego, w nieświadomości najistotniejszych praw życia nie może wiedzieć o konsekwencjach tego nałogu. Ulega mu, gdyż podnieca on jego świeżą i żywą wyobraźnię jako odkrycie, jest miły i łatwy.

---

nącej z obcowania z mężczyzną, daje jej rekompensatę podczas spełniania funkcji macierzyńskiej. Kobiety dzikie, bardziej posłuszne naturalnym instynktom, w okresie karmienia płciowo nie obcują.

Pierwsze lata beztroski, lata dojrzałej młodości, opromienione czystą, naturalną miłością, mieszczą w sobie ów już nigdy później niedoznany czar: radość istnienia, świeżość i szczęśliwość. Lecz cóż warte jest życie, nagle na progu ze słońca odarte?... Któż tę tragedję człowieka pojmie i zrozumie?

Wiek obecny zwiemy wiekiem dziecka. Rzeczywiście, dla dziecka uczyniliśmy bardzo wiele. Żłobki, ochronki, przedszkola, ogródki jordanowskie, kolonje letnie, prawna ochrona pracy młodocianych — oto w przybliżeniu jego zasługi.

Przyszły ciężkie czasy. Odczuwamy je wszyscy nad wyraz boleśnie. Widzimy, jak ostatnie wstrząsy dziejowe zachwiały nasze podstawy moralne. Dziecko jest tą istotą, w której żyjemy dalej: jest ono naszą przyszłością. W nie wkładamy pragnienia, których sami zrealizować nie zdołaliśmy: naszą tęsknotę do szczęścia i wszystką nadzieję lepszego jutra. I dziś właśnie, gdy czyha na nie więcej niż kiedyindziej wrogich wpływów, winniśmy dziecko otoczyć szczególną opieką, by na spotkanie życia szło zdrowe, silne, uśmiechnięte i pełne entuzjazmu.

PŁYTA-CZŁOWIEK PRZED MIKROFONEM

Żyjemy pod znakiem udogodnień i mechanizacji życia. Lecz obok pożytecznych udogodnień, wniesionych przez cywilizację, są i takie, które przynoszą raczej szkodę. Mamy na myśli mechaniczne rozprzestrzenianie dzieł sztuki.

Ostatnio pierwszeństwo w tym kierunku trzyma radjo, jako czynnik o niebywale szerokim zasięgu transmisyjnym i odtwórczym. Cały szereg najpiękniejszych utworów muzycznych utrwalono na płytach gramofonowych i z nich podaje się je słuchaczom.

W tem właśnie tkwi źródło częściowej szkodliwości tej metody rozprzestrzeniania muzyki, jednej z najpiękniejszych sztuk. Płyta jest już drugim skolei etapem odtwarzania, transmisja radjowa zaś — trzecim.

Dzieło muzyczne okradane jest z jednego z najważniejszych swych walorów: możliwości bezpośredniego przenikania w psychikę słuchacza. Odpada bowiem pierwiastek życia, który wnosi kompozytor lub odtwórca danego dzieła. A owo złudzenie życia, które powinno jednak drgać nawet w drodze odtwarzania radjowego, zabijane jest przez istnienie pierwiastków mechanicznych, tkwiących w samej płycie. Liczne szmery, towarzyszące ruchom gramofonu, potęgowane są następnie przez mechanizm instalacji aparatu radjowego. Sama barwa głosu jest tem zniekształcona, zgoła lub mało podobna do oryginalnej, pierwiastek życia zgaszony całkowicie, obce głosy tworzą bezmała osobną i nową melodję, niesharmonizowaną, rozbrzmiewającą obok melodji zasadniczej. Zatraca się istotny, jedyny i zniewalający wdzięk oraz moc sugestywna utworu muzycznego, który w ostatnim etapie odtwarzania i transmisji jest już, rzec można, nie tym samym, a całkiem nowym, sumą składników pierwotnych, zasadniczych i mechanicznych.

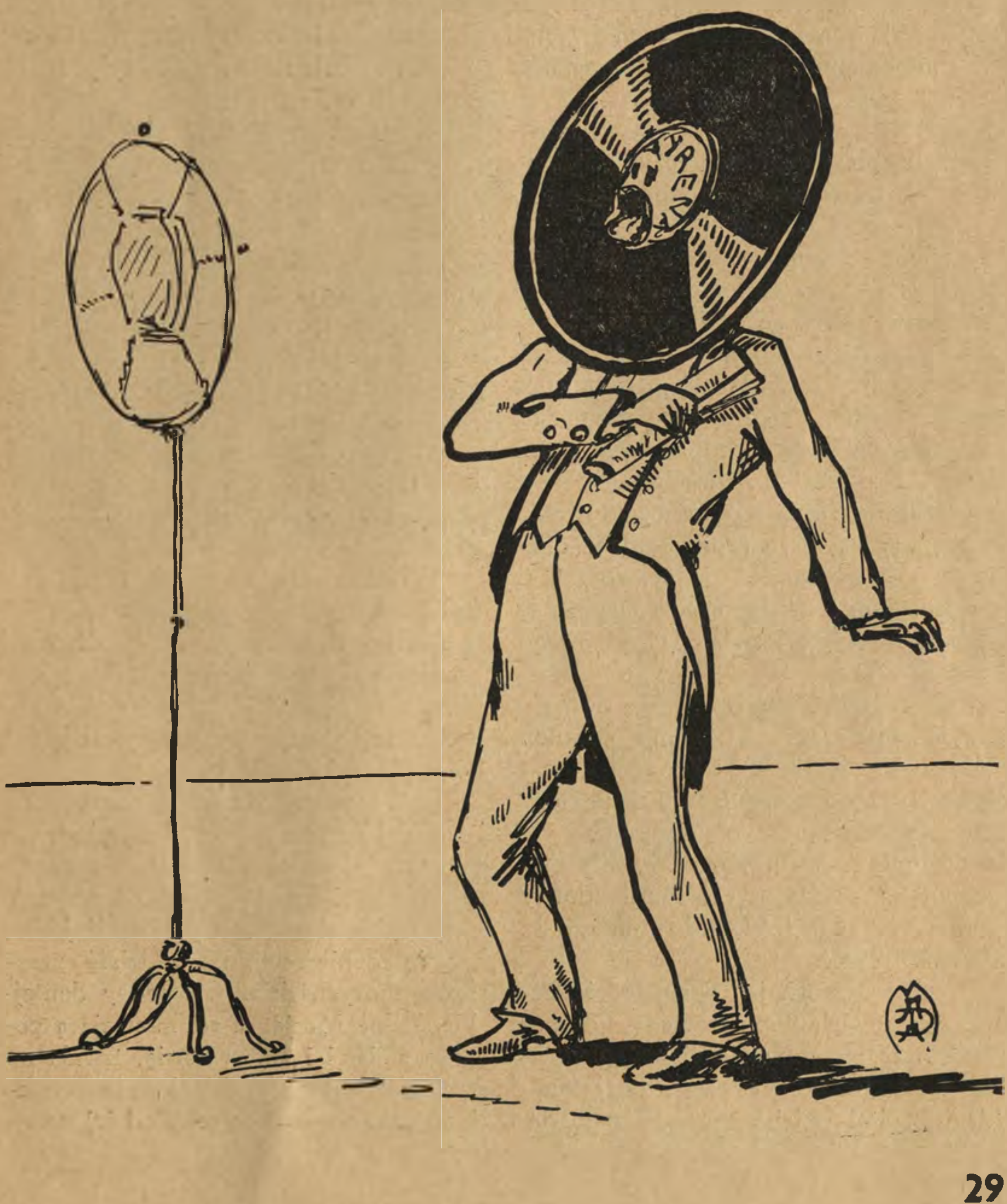
Wypływa z tego wielka szkodliwość dla radjosłuchacza, którą podkreślić pragniemy, objawiająca się między innemi w dezorjentacji i zanikaniu smaku estetycznego. Ponadto Polskie Radjo wyrządza swym abonentom wielką krzywdę: pozbawia ich szeregu prawdziwych wzruszeń serdecznych, podniosłych wzlotów ducha i marzeń ponadrealnych, płynących właśnie z muzyki

żywej i bezpośrednio podanej. Radjo powinno, skoro już nie można — zgadzamy się z tem — wyeliminować niepożądanych a jednak koniecznych czynników samej aparatury, unikać chociaż jednego zła, naszem zdaniem doniosłego,—obcych głosów samego gramofonu.

Jesteśmy pewni, że abonent Polskiego Radja, słuchając koncertu z płyt, widzi poprzez przestrzeń daleką śmieszny i przykry zarazem widok: osobę muzyka lub śpiewaka, który zamiast głowy posiada płytę gramofonową. Ten obraz narzuca się wyobraźni nieodparcie, odstręcza i straszy...

Pragniemy możliwie najbardziej prawdziwej muzyki, w której czulibyśmy obecność człowieka - wykonawcy, a która przepaja twór muzyczny nurtem życia, ujmującym wdziękiem i urokiem, zniewalającą sugestją i gorącą pieszczotą swoich melodyj.

P. Ł.



HENRYK RÓŻNOWICZ

HISZPAŃSKA JOANNA D'ARC

W plejadzie nazwisk bohaterek narodowych, broniących honoru i całości swej ojczyzny, a którą uświetniła słynna Joanna d'Arc, również przepięknym blaskiem błyszczy nazwisko Marji Rafols, szlachetnej i bohaterskiej siostry miłosierdzia.

Narody i państwa bowiem zwyciężają wroga nietylko w bojach orężnych, wymagających męskich ramion i piersi; za kolumnami wojsk suną niepozorne zda się postacie sióstr miłosierdzia i pielęgniarek, których rola w tym czasie jest niemniej doniosła, czyny, acz ciche i łatwe napozór, wymagające niemniejszego bohaterstwa, hartu i poświęcenia krwi i życia, a ratujące najcenniejszy, niezastąpiony materjał wojenny: — życie i zdrowie żołnierzy.

Marja Rafols już jako młode dziewczę wstąpiła do klasztoru, gdzie oddała się praktykom religijnym. Lecz cicha, zamknięta i mało produktywna praca nużyła i zniechęcała żywą duszę dziewczęcą, która rwała się do wyładowania energji w czynie, bezprzykładnej ofierze i poświęceniu. Zamarzyła o szeroko zakrojonej działalności charytatywnej, w której widziała istotę swego życia.

W r. 1805, opuściwszy klasztor, założyła pierwszy w Hiszpanji „Zakon Sióstr Miłosierdzia". Wstępną jej działalnością było zorganizowanie pomocy dla fizycznie i umysłowo chorych. W zakonie tym pracowało 12 sióstr, które pod przewodnictwem Marji zdołały sobie zyskać wśród ludu niebywały rozgłos i cześć.

Lecz marzenia jej spełniać się zaczęły całkowicie dopiero wtedy, gdy powołano ją na odpowiedzialną placówkę — w charakterze przełożonej wielkiego szpitala miejskiego w Saragossie.

W tym czasie bowiem rozszalała się burza wojenna. Napoleon na czele dobrze uzbrojonej armji ruszył na zdobycie tej górskiej twierdzy Aragonji, jaką była właśnie Saragossa. Ciężkie pociski artyleryjskie, padające dzień i noc, zamieniały oblężone miasto w gruzy. Ulice i place przedstawiały widok niemniej żałosny, niż dziś w oblężonym Madrycie. Ranni i chorzy zapełniali szpital Marji Rafols, sieroty prosiły o pomoc i opiekę.

Zbliżały się tragicznie ciężkie dni. Napoleon zarządził przerwę w operacjach wojennych, którą poświęcił przegrupowywaniu wojsk i wysłaniu pod miasto nowych 50 kartaczownic. Marja skwapliwie skorzystała z tej przerwy, by zwiększyć ilość łóżek i personelu, ulepszyć środki leczenia i wogóle zorganizować pomoc, której wymagała krytyczna chwila. Nadeszły dni dla miasta decydujące. Ściśle oblężone, całkowicie odcięte od reszty kraju, nawiedzone przez epidemje, zaczęło cierpieć głód.

Widziano wówczas, jak Marja Rafols, zwana przez ludność miasta „świętą Marją, nie zważając na możliwości zarażenia się, uwijała się wśród wąskich uliczek i z iście kobiecą ofiarnością stawała wszędzie tam, skąd wzywał ją jęk bólu, głodu i cierpienia.

Lecz los zrządził inaczej, nie ochronił i tego jej posterunku. Olbrzymi gmach szpitala, jej duma i radość, ugodzony ciężkim pociskiem, spłonął doszczętnie. Cały personel ogarnęła panika, lżej chorzy się rozpierzchli, na oddziale umysłowo chorych działy się sceny dantejskie. Jedna Marja, ze zdumiewającą pogardą śmierci i zimną krwią, trwała na stanowisku dopóty, dopóki nie wyniesiono ostatniego chorego. Pod jej dozo-

rem umieszczono ich wszystkich w kościele św. Michała.

Miastu groziła niechybna śmierć, jeśli nie zdarzy się cud lub nie nadejdzie z zewnątrz jakaś pomoc. Tragizm tego położenia pełniej niż ktokolwiek inny uświadamiała sobie Marja Rafols. Z właściwą sobie odwagą, płynącą ra-



J. Suchodolski

Oblężenie Saragossy

czej z instynku poświęcania się bezustannego, powzięła szalony i ryzykowny zamiar: przedarcie się przez pierścień oblegających wojsk do armji która dążyła z odsieczą, i przyspieszenia pomocy. Ciemną nocą wyślizgnęła się z miasta i na czworakach przebrnęła przez linje nieprzyjacielskie.

Gdy stanęła przed obliczem dowódcy, w sukni podziurawionej kulami, sędziwemu żołnierzowi błysnęły w oczach łzy.

Swoim czynem uratowała życie ponad 6000 mieszkańców miasta i honor ojczyzny, za co król Alfons XIII, w dowód wdzięczności narodu, nadał jej przydomek „Hiszpańskiej Joanny d'Arc".

Atoli — jak to bywa w życiu zasłużonych ludzi — Marji Rafols nie sądzonem było spokojnie i w pracy umiłowanej dokończyć ostatnich dni swego zbożnego żywota. Po śmierci króla, na skutek fałszywych doniesień i oskarżeń, skazana została na banicję.

Jednakże nie wyrzekła się swej umiłownej nad życie pracy. Wróciwszy do Saragossy, gdzie przyjęła była ogniowy chrzest swego posłannictwa, znów rzuciła się w wir pracy samarytańskiej, tym razem wśród młodzieży.

W ostatnich latach zaczęła pisać dziennik osobisty. Między wzmiankami o wydarzeniach codziennego życia przewinie się niekiedy refleksja lub zagadnienie o głębszem podłożu i znaczeniu, a nawet myśl prorocza. Kilka kartek z tego właśnie dziennika, który stał się już dokumentem historycznym, odnalezionych zostało przez pewną hiszpańską siostrę miłosierdzia. Jedna z nich zasługuje na szczególną uwagę, gdyż zawiera wprost prorocze słowa. Sędziwa Marja Rafols, jakgdyby przeczuwając, że ojczyznę jej nawiedzi bratobójcza wojna, pisze: „Przyjdą obcy i wzniecą zawieruchę wojny domowej. Powstanie brat przeciw bratu. A gdy braknie naszych, bić się będą obcy, niszcząc doszczętnie kraj. Pamiętajmy, że najpotężniejszą bronią, którą można osiągnąć zwycięstwo, jest reforma obyczajów i dążenie do wspólnego szczęścia".

STEFAN KIWICZ

JAK KRAKÓW PRZYJMUJE SWOICH TURYSTÓW

Jesteśmy, jak już oddawna wiadomo, narodem o silnych skłonnościach podróżniczych. Zawsze i wszędzie było nas pełno kiedyś, nie brak nas i dzisiaj.

Nie znając tej cechy plemiennej, trudno mi było dociec, skąd się taka robinsonada wzięła u mnie. Pochodzę z rodziny spokojnej, osiadłej, która nawet niedaleko, tuż poza granicę stron rodzinnych nigdy nie wyruszała.

Swoje porywy, obudzone dość wcześnie, tłomaczyłem zrazu okresem pokwitania, kiedy to zdało się nam, że świat cały stoi otworem i czeka tylko, abyśmy go zdobyli.

Otto Weininger twiedzi, że źródłem podróżomanji jest — erotyzm. Zgoda. Czemże zatem wytłomaczyć ją u ludzi już sędziwych, takich np. jak Hamsun, Bernard Shaw, a ze zmarłych Sienkiewicz i Clemenceau?

Działają tu niewątpliwie, jak już zaznaczyłem na wstępie, czynniki cech czysto rasowych oraz psychologicznego układu danego osobnika.

Było to przed piętnastu laty. Nie miałem jeszcze najsłabszego pojęcia o turystyce. Nie wiedziałem również, kim jest ów turysta, o którym w Polsce zaczynało się mówić coraz głośniej.

Jako chłopiec, zbyt na swój wiek niespokojny, rozczytując się w książkach podróżniczych, śniłem bez przerwy, że kiedyś muszę wyrwać się w świat szeroki, gdzie, zdawało mi się, wszystko jest piękniejszem, daleko piękniejszem niż u nas. Ale narazie marzenia te zostały jeno marzeniami.

Nie zdradzając nikomu tych rojeń, zawsze skryty i małomówny, siedząc nad mapami, którem w szkole skupywał za cenę licznych wyrzeczeń się, wierzyłem niezłomnie, iż kiedyś, kiedyś, w stosownej porze sny moje staną się rzeczywistością.

Tuż po odzyskaniu niepodległości, w jednej z osad fabrycznych, gdziem wówczas mieszkał, założono bibljotekę. Radosne upajanie się zjawiskiem odzyskanej wolności, pęd do samokształcenia się, przenikający szerokie masy, i organizacji nowego życia — oto cechy tamtych dni. Jako uczeń gimnazjum, najpoważniejszy „autorytet" w dziedzinie czytelnictwa, w chwilach pozaszkolnych pomagałem bibljotekarzowi w kupnie książek, katalogowaniu ich i wydawaniu czytelnikom.

Wtedy to wpadła mi w ręce przepiękna książka „Mieczysław Karłowicz w Tatrach", wydana przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Chwile spędzone nad nią należą do najpiękniejszych wspomnień mojego pacholęctwa. Przecudne opisy gór, opracowane z niepospolitą jak na muzyka kulturą literacką, ozdobione szeregiem zdjęć fotograficznych, dały mi przedsmak taternickich rozkoszy.

Przez długie tygodnie żyłem w transie gorączkowych rojeń, pragnień, porywów i planów.

Być tam, być tam za wszelką cenę!

Rozwinąłem wśród kolegów szeroką propagandę. Węszyłem, czy który nie siedzi na podobnych, jak ja, rozpalonych węglach. Śledziłem, czy który nie lubuje się w lekturze podróżniczej.

Niestety, daremnie.

Nie mogłem dłużej wytrzymać. Pewnego ranka, wymknąwszy się cichaczem, pobiegłem na dworzec, oddalony o trzy kilometry. Było jeszcze ciemnawo. Kurzyła straszna zawieja. Przede mną leżała ogromna płaszczyzna nieskalanej

bieli. Chwilami traciłem orjentację kierunku i miejsca.

Ledwie, party jakąś dziką zawziętością, dotarłem do dworca.

Po kilku godzinach znalazłem się w Krakowie. Chciałem koniecznie pojechać w góry. Taki był mój początkowy, nieodwołalny zamiar. Kupiłem nawet — o snobiźmie! — góralską ciupagę, masywnie okutą, ciężką, że aż prosiła się o piarg i skałę... Lecz nie mogłem oprzeć się pokusie dokładnego zwiedzenia miasta i jego bezcennych zabytków. W podwawelskim grodzie byłem poraz pierwszy w życiu! Niedoświadczony, nie znając nikogo, rychło wydałem zabrane z sobą pieniądze. Wyjrzała ku mnie straszna tragedja bezdomnego, bez grosza w kieszeni i wśród obcych. Zrazum pożałował swego kroku. Wybrałem się w góry, a osiadłem na mieliźnie, z której, jak czułem, niepodobna było ruszyć. Położenie moje stało się conajmniej rozpaczliwe. Majaczyło mi się odstawienie do domu ciupasem, bura ojca, a może i „lanie", wstyd nieudanej eskapady i ośmieszenie się. To ostatnie nie do przeżycia! Wszelako nie upadłem na duchu, wierząc, że przecież, do licha! wyjście z tego znaleźć się musi.

Postanowiłem nie pytać o tę lub inną ulicę, trwając w tej ambicji, że wszędzie muszę trafić sam, prowadzony własnym instynktem, jak to już nieraz czyniłem. W tej chłopięcej metodzie widziałem oddawna nieprześcigniony sposób dokładnego poznania zwiedzanej miejscowości. Drogo mnie to czasem kosztowało.

Atoli którejś nocy, siedząc na dworcu głodny i zziębnięty, spotkałem zbawcę. Jakiś pan, od stóp do głowy ubrany sportowo, czekał na pociąg zakopiański. Wyczuł, że przyglądałem mu się pilnie, ciekawie, z ogniem zazdrości w oczach. Spojrzał na mnie raz i drugi. Laska, na której byłem wsparty, zadecydowała o wszystkiem.

— Pan także turysta, co? — zagadnął mię, podchodząc.

Nie odrazu odrzekłem, uderzony wyrazem „pan", przez który poraz pierwszy zwracano się do mnie, gołowąsa, mizernego chłopaka. Przecież nawet tam, w osadzie, czytelnicy, aczkolwiek podziwiając moją „uczoność", prosili najczęściej tak poufale: Stefanku, dajno mi coś Sienkiewicza... Wiesz, Stefuś, chcę coś o bandytach...

— Tak sobie — bąknąłem w odpowiedzi nieznajomemu.

Usiadł obok. Opowiedziałem mu o swoim gorącym zamiarze, wkońcu całą historję tej nieudanej eskapady i o ambicjach, godnych zaiste najwytrawniejszego globtretera-wygi.

— Hm, podoba mi się to — podrapał wygolony podbródek.

Czekałem, a przez głowę przemknęła mi myśl, czyby nie zaofiarować się choćby do noszenia nart lub plecaka, byleby tylko ujrzeć góry.

— Cóż z panem zrobić, młodzieńcze?... — zatroskał się, jak widziałem, dość poważnie.

Zapadło wyczekujące milczenie.

— Dobrze, już wiem! — rzekł nagle, zdecydowanie. — Sprzęt do przechowalni. Pojadę jutro. A teraz idziemy do mnie.

Ośnieżone, ciche o tej porze planty wyglądały pięknie. Cały ich urok swoisty, jedyny ujrzałem w tamtą noc.

— Jakże cudownie musi być teraz w górach... — marzyłem cichutko, drepcąc obok swego opiekuna, który kroczył raźno, w zamyśleniu, jakby o mnie zapomniał całkowicie.

Nazajutrz poszliśmy do Towarzystwa Tatrzańskiego. Przy stołach siedziało kilku panów. Przywitał ich swobodnie, wywołując swem zjawieniem się ogólne zdumienie.

— Jeszcześ tu? Co się stało? — pytano.

Popatrzyli na mnie. Zdawało mi się, że chcą zapytać: A ten tu poco? To mnie nieco zmieszało. Niepotrzebnie jednakże, gdyż mieli wobec mnie, jak się później przekonałem, wcale przyjazne intencje.

Mój opiekun wyłuszczył dokładnie całą sprawę, nie omieszkając napomknąć i o mojej odwadze, co mi, rzecz jasna, przyjemnie schlebiło.

— I co zamierzasz teraz uczynić? — spytano go, gdy skończył opowiadanie.

— Musimy postarać się, aby on mimo wszystko mógł pojechać do Zakopanego.

— Ale jak?

— Zaraz uradzimy.

Chwila zastanowienia się.

— Hm, mam świetny pomysł!

Spojrzeliśmy nań wyczekująco.

— Jeszcze przedtem, zanim go wyjawię — zwrócił się tajemniczo — muszę was mocno przekonać, byście się przed nim nie cofnęli.

— Gadaj! gadaj! — posypały się przynaglenia.

— Już wiecie, kto to jest, prawda?— wskazał na mnie. — Widzicie jego szczery poryw, którego nie można nazwać, ja wam to mówię! jakąś tam chorobliwą robinsonadą, tak częstą u tych smyków. To przyszły taternik. Wierzę niezłomnie, że nie omylę się. Puszczamy pieniądze tu i tam, czasem na nic. Proponuję małą składkę: każdy da kwotę, którą jako członek Towarzystwa wpłaca co miesiąc. Przebiegnę jeszcze miasto i wyciągnę coś niecoś od Staszka, Wiktora i Bolka. To wszystko ofiarujemy w formie pożyczki naszemu młodszemu koledze. Czyż to nie jest miło zrobić komuś tak wielką przyjemność, co?

Jak uradzono, tak się też stało.

Nazajutrz wczesnym rankiem jechałem w góry. Patrząc na Kraków, spowijający się zwolna w rozsłonecznioną siność dali, byłem pełen niewysłowionej szczęśliwości...

KAZIMIERZ RELSKI

U ŹRÓDŁA

Do Rabki - Zdroju, słynnego uzdrowiska dla dzieci, krótsza droga z Nowego Targu prowadzi urwistym parowem. Zmoczony do ostatniej nitki, ziębnięty w cienkim drelichu i głodny, przedzierałem się przez zarośla, rosnące nisko ponad ścieżką. Po deszczu kamienistem podłożem mknęły wartko strugi, strumyki i potoczki zeń wezbrane.

Dawno minęło już południe i zapadał śliczny przedwieczór. Nieuleczalny entuzjasta, stanąłem, by napawać się tą jedyną piękną chwilą... Góry, bliżej zachodu położone, różowo płonące, rysowały się ostro, wyraźnie. Dalsze, w szczytach objęte mlecznem powietrzem, sięgającem chmur, stały we mgłach, które, jak wielkie połacie śniegu, spływały w doliny.

Na hali w Dolinie Pięciu Stawów, w czasie gwałtownej ulewy, rozmokła mi była docna mapa. Rozglądałem się, by znaleźć miejsce odpowiednie, gdziebym mógł wytyczyć sobie marszrutę powrotną do Warszawy, jednakże tak, by tego lata osiągnąć jeszcze maximum korzyści krajoznawczych.

A nadewszystko byłem przecie wściekle głodny i należało czemprędzej posilić się. Na końcu zdrojowiska ujrzałem schludny domeczek, cały tonący w kwieciu ogródka. Zsiadłe mleko, stojące w szklankach za szybami okna, wyzierają-

cego z krasy roślinnej, zgrabniutkie bułeczki obok leżące oraz wielki kęs owczego sera zdwoiły mój apetyt. Dopiero później spostrzegłem słodko brzmiący dla podróżnych napis: „Przystań turystyczna".

— Nie, nie pójdę dalej! — postanowiłem, ujmując za rygielek furtki.

Na ganku przywitał mnie zdrowy, w sile wieku mężczyzna. Gdym mu się przedstawił i wyłuszczył swą prośbę, wprowadził mnie do wnętrza. Całe lato podróżując, przywykłem był do pierwotnego współżycia z przyrodą; ciepło i słodka przytulność mieszkania mile mię zaskoczyły. Wszystko było ustawione ze smakiem i wdzięczną prostotą, w czem dostrzegłem dłonie kochającej kobiety i niemniej precyzji byłego żołnierza. Doprawdy, wstyd przyznać, patrząc na tapczan, zasłany poduszkami, na kwiaty stojące w krysztale i równe grzbiety książek w szafie, załamałem się w sobie na chwilę.

Nie przeprosiwszy pana domu, niebaczny względów gościnności, z plecakiem na ramionach rzuciłem się ku bibljoteczce. Któż mógłby mię wtedy powstrzymać? Zrazum zapomniał o celu, w jakim przyszedłem, przejęty serdecznym porywem.

Gospodarz patrzał pobłażliwie, cierpliwy i wyrozumiały.

— Widzę, że pan kocha książki — odezwał się po chwili.

Nic nie odpowiedziawszy, uśmiechnąłem się doń przyjacielsko.

Wnet przyniósł wielką mapę.

— Ale — przerwał rychło — naprzód chyba coś zjemy. Pan jest turystą, ja byłem żołnierzem, zrozumiemy się łatwo. A więc — dodał z humorem — primum edere, deinde philosophari. Potem będzie raźniej.

Rozwiązały się nam języki. Stawaliśmy się coraz bliższymi sobie.

On kiedyś, we wczesnej młodości, tramp zawołany, nazwawszy mię bratnim duchem, skolei opowiedział o sobie.

Jako młody chłopiec, będąc w ostatniej klasie gimnazjum, uciekł z domu do Krakowa. Walczył w Legjonach. Przebył całą chlubną kampanję wołyńską. W rowie strzeleckim znalazł się ramię w ramię z Włodzimierzem Koniecznym, zdolnym rzeźbiarzem i grafikiem, który w jego oczach 1916 r. padł pod Polską Górą. Następnie, po nieszczęśliwej bitwie pod Kaniowem, przedarł się przez linje niemieckie i powędrował na Murmań. O, ciężka i okropna była to tułaczka poprzez śnieżne i lodowe pustosza, poprzez „tajgę sybirską, wobec której Puszcza Białowieska wydaje się małym gajem, w nieustannym ogniu bitew, w znoju przerażających upałów latowych, w mrozach, w których wieczne bagniska stają się w zimie jakoby morzem do dna szklanem, zaś pnie drzew puszczańskich tężeją wrośnięte w zmarzły spiż gruntu, pokrytego śniegiem i lodem"[1]). Z nabożną czcią, wzruszonym głosem mówił o ówczesnej martyrologji polskiego żołnierza, żołnierza bez ojczyzny i państwa, żołnierza - tułacza, który mimoto, zapatrzony w swój ideał święty, nie pytał o nic, jeno bić się pragnął, bez różnicy na jakich polach, pod czyjem dowództwem... Wierzył bowiem niezłomnie, że czyni to dla Polski, o której śnił pod biegunem, której rychłe odrodzenie jawiło mu się w przecudnych blaskach zorzy polarnej...

— Zaiste — opowiadał mój znajomy — dziś, gdy patrzę na tamte czasy z oddali lat kilkunastu, podziwiam i czczę ów hart, fanatyczne przywiązanie do swej idei i ową gotowość oddania każdej chwili życia za to, co się wyhołubiło w głębi młodzieńczego serca.

W Archangielsku zetknął się przypadkowo z Eugenjuszem Małaczew-

---

[1]) Eugenjusz Małaczewski: „Koń na wzgórzu", Gebethner i Wolff, wydanie trzecie.

skim. Ten, młodziutki wówczas, miał w dorobku pisarskim jeno tomik wierszy, będący jednem z najgłębszych jego ukochań; obnosił go z sobą wszędy, pieścił i strzegł. Zaprzyjaźniwszy się szybko, mocno, wkońcu pokochali się serdecznie. Wspólnie pomagali kolegom, komunikowali im coraz radośniejsze wieści z hen dalekiego kraju, grzebali w zmarzłej ziemi tych, którym nie danem było wrócić do ojczyzny.

— Czytając piękne nowele swego przyjaciela pisarza — ciągnął dalej — w charakterystyce bohaterów znajduję wiele rysów swojej natury. Jest to dla mnie, rozumie pan, wielkim zaszczytem i niemniej drogiem wspomnieniem.

Wstał, podszedł do szafy i wyjął książkę. Na pierwszej stronie drżącą dłonią wypisana była dedykacja z datą, kiedy autor, chory z bezliku starych ran, zrezygnowany, w 27 roku życia dogorywał w sanatorjum zakopiańskiem, wpatrzony w cudny grzebień Tatr.

Później los rozłączył ich. Mój znajomy walczył jeszcze w r. 1920. Pod Kijowem wzięty do niewoli bolszewickiej, wrócił z niej po roku. Spowrotem wstąpił do wojska w stopniu porucznika. Przydzielony został do garnizonu łódzkiego. Ponieważ sterał zdrowie, coraz częściej zapadał na chorobę płuc. Powietrze ośrodka przemysłowego było dlań zabójczem. Wniósł podanie o przeniesienie go do którejś z miejscowości podgórskich. Napróżno: długo nie było odpowiedniego wakansu. Co pewien czas niebezpiecznie chorował. A nadewszystko bolała go świadomość, że nie może pełnić służby należycie, jak do tego przywykł i jak pełnić ją pragnął: całą duszą i sercem. Czynił sobie wyrzuty, że jest ciężarem dla państwa i społeczeństwa. Wkońcu podał się do dymisji i uzyskał zwolnienie.

Otrzymawszy skromną emeryturę, zamieszkał w Rabce. Żyjąc oszczędnie i rozsądnie przez szereg lat, zdołał o własnych siłach wybudować sobie maleńki, napół góralski domek, mieszczący kuchnię, dwa pokoiki i sypialnię. Urządziwszy się w nim jako tako, ożenił się.

— Sąsiedzi zazdroszczą mi zaradności—chwilił się skromnie. — Lecz któż, u licha, ma być zaradnym, praktycznym i dzielnym życiowo, jeśli nie żołnierz, prawda? Ho, ho, czego się to nie robiło w twardem życiu wojskowem!

Ponieważ nazajutrz raniutko zamierzałem ruszyć dalej, a pragnąłem obejrzeć to niezmiernie ciekawe gospodarstwo, o własnych skąpych siłach założone, podniosłem się od stołu. Znajomy mój, słysząc o mej chęci, bardzo był rad.

— Chodźmy zatem, pokażę panu swoją zagrodę — rzekł z dumą.

Zmierzchało już, gdyśmy znaleźli się na podwórzu. Za domem huczała rzeka Raba. Obejrzeliśmy ogródek warzywny, starannie zaprowadzony, w którym niczego nie brakowało.

— Wiosną pracujemy tu wszyscy — objaśniał. — Dzieci, dwóch tęgich chłopaków, gdy wrócą ze szkoły, zaprzęgam do roboty. Niechaj zapoznają się z najprostszemi czynnościami, które, jakkolwiek się kiedyś czasy ułożą, zawsze wszak składać się będą na istotne życie i pracę. To nie znaczy bynajmniej, że zaniedbuję ich kulturę duchową. Pragnę właśnie sharmonizować ich rozwój fizyczny z duchowym. W tem, poza zadowoleniem ojcowskich uczuć, mam jeszcze szerokie i niezmiernie ciekawe pole doświadczeń, odsłaniających mi wiele stron życia, nieznanych mi dotąd. Matki, przyjeżdżające tu z chorowitemi dziećmi, odwiedzają mię tłumnie, pytając o tajemnicę wychowawcze, dzięki którym moje latorośle wyglądają tak zachwycająco.

Podziwiałem go.

— Ten ogródek — gawędził po przerwie — przynosi mi ładny dochód. Zimą do Zdroju sprzedaję warzywa. A

co sezon następny, zabrawszy się, jak to mówią, lepiej, zgarniam więcej grosza.

Żona, oddana towarzyszka jego życia, nieco odeń starsza, pomaga mu dzielnie. Zabiega narówni z nim, oszczędza i choćby drobiazgiem stara się nieustannie powiększać wspólne gospodarstwo.

— Drób i ten ogródek — potwierdził — to oczko w głowie mojej żony. A ja w tym roku np. wpadłem na pomysł prowadzenia tej oto „Przystani". Ponadto, że nieco na niej zarabiam, mam jeszcze jedną przyjemność: oddech szerokiego świata, do którego z dawnych nawyków czasem jeszcze tęsknię. (Wiadomo, natura ciągnie wilka do lasu, a żołnierza w pole). Wstępują do mnie różni: i turystyczne snoby, obwieszone rekwizytami, jak zwierzęta juczne; i rekordowi sportowcy, zziajani i zapyleni; i dziennikarze, mający wszędy czujne ucho i oko (znaczące mrugnięcie w moją stronę); i bezrobotni włóczędzy, ludzie gościńca, głodni i obdarci, i wreszcie różne ptaki niebieskie, których najczęściej na cztery wiatry przepędzam.

— A czy emerytura, jaką pan otrzymuje od skarbu państwa, jest wystarczająca? — pytam.

— W zupełności. Właśnie przy takiem zorganizowaniu życia nie cierpię niedostatku. Nie mogłem należycie pełnić służby, chcę pokazać, że nietylko nie będę narzekał, jak cały legjon mi podobnych, ale urządzę się z zazdrości godnym dobrobytem. I uprzyjemniam sobie życie. Najbardziej umiłowaną przeze mnie sztuką jest muzyka. Oddaję się jej z entuzjazmem. Grywam na skrzypcach. Obok tego studjuję historję tej najpiękniejszej ze sztuk, próbuję, przyznaję się przed panem, pisać muzykologiczne artykuły. Drugą moją pasją jest literatura piękna. Czytam wiele. Mam na to sporo czasu. Zwłaszcza zimą. Uderza mnie wielkie podobieństwo, jakie zachodzi między mojem życiem a życiem Tołstoja. Służba wojskowa, hulanki młodzieńcze, potem ferment wewnętrzny, wreszcie osiedlenie się na wsi i t. p. Przez to jest on moim najulubieńszym pisarzem.

Ze słów jego bił urok i pokusa spokojnego żywota. Przyrzekłem, że skoro tylko stanę w Warszawie, nadeślę mu pełną biografję mędrca z Jasnej Polany.

Istotnie, podziwiałem tego dzielnego żołnierza - ziemianina. W swej podróży widziałem wiele dużych gospodarstw wiejskich, których tyle w bogatej ziemi lubelskiej, i w hrubieszowskiem, i w pięknej ziemi kieleckiej. Widziałem, że czegoś tam, mimo dostatku, brak jeszcze. Brak, powiedziałbym, pewnego rodzaju mądrej ekonomji, która, zastosowana rozumnie, choćby na kawałątku ziemi, może dać nadspodziewanie wielkie owoce.

Zwróciłem na to uwagę mego rozmówcy.

— Tak — zgodził się. — Chłopom, acz posiadają wielkie doświadczenie i zżycie się z ziemią, brak tej właśnie rozumnej kultury rolnej, dzięki której nie istniałoby zagadnienie przeludnienia i ubóstwa wsi naszej.

— Dokonuje pan cudu — schlebiłem mu.

— Nie dosyć tego — ciągnął dalej.— W okolicy przeprowadzam badania rolnicze. Uderzyło mnie właśnie to samo zjawisko. Wiele o niem myślę. Zbieram materjał. Noszę się z zamiarem napisania kiedyś książki: „O samowystarczalności małych gospodarstw". Poprę przykładami ze swego tutaj gospodarowania i żywota. A, jak pan stwierdza, osiągnąłem już nieprzeciętne wyniki. I byłem przecież laikiem, ziemię znałem o tyle, o ile trzeba było kopać rów strzelecki lub szańczyk ochronny dla swej „cennej" głowy. A jednak...

Tak, wielka prawda.

Więcej takich!

Raniutko, skoro świt, ruszyłem dalej gościńcem, wiodącym do Krakowa. Idąc wzdłuż Raby, w zielonym parowie huczącej bezustannie, długo myślałem o tym niezwykłym emerycie. Wyobrażałem sobie, że teraz zapewne obchodzi ogródek, patrzy jak wiele w ciągu nocy czego urosło, jako dobry gospodarz zagląda wszędzie i raduje się tem, że znowu wstał dzień pracy...

KRONIKA

KRAJOWA

Miesiąc przymierza z książką. Wzorem lat ubiegłych, w czasie od 15 listopada do 15 grudnia urządzony został t. zw. miesiąc przymierza z książką. Celem tej akcji jest zbliżenie czytelnika do słowa drukowanego przez dostarczeniu mu dobrej, a zarazem i taniej książki.

Ziemie Polskie w malarstwie, literaturze i muzyce. Pod tym tytułem Komitet Budowy Muzeum Narodowego w Krakowie wydał kalendarz na r. 1938, zawierający 70 reprodukcyj obrazów, odzwierciadlających piękno naszej ziemi. Obok reprodukcyj umieszczono teksty pisarzy od w. 16, związane z treścią obrazów. Niektóre obrazy otrzymały ilustrację muzyczną w opracowaniu prof. Z. Jachimeckiego. Całość przepiękna.

Odznaczenie pisarza japońskiego. Tow. polsko-japońskie w Warszawie zamianowało członkiem honorowym p. Asadori Kato, który położył wielkie zasługi na polu zbliżenia intelektualnego między Polską a Japonją, przetłomaczywszy „Chłopów" Reymonta, „Popioły" Żeromskiego, „Pana Tadeusza" oraz poezje Norwida.

Salon Malarski w I. P. S. Instytut Propagandy Sztuki organizuje doroczny malarski Salon Zimowy. Otwarcie nastąpi 4 grudnia b. r. Każdy z artystów występować będzie z dwoma obrazami.

Rocznica Grottgera. W dniu 11 listopada b. r. przypadła 100 rocznica urodzin Artura Grottgera. Niezwykle podniosłą akademję ku czci genjalnego malarza-patrjoty urządziło Polskie Towarzystwo Artystyczne w Warszawie.

Konkurs na piękną książkę. „Rada Książki" ogłosiła konkurs na najlepiej i najpiękniej wydaną książkę polską w r. 1937. Konkursowi podlegają książki z zakresu literatury pięknej i pokrewnych, wykonane całkowicie w kraju.

Muzeum Diecezjalne w Sandomierzu. W końcu października b. r. otwarto w Sandomierzu (w domu Długosza) Muzeum Diecezjalne. Jego inicjatorem i twórcą jest dr. Karol Estreicher, wybitny historyk sztuki. Do najcenniejszych zbiorów Muzeum należą liczne tkaniny i hafty od w. XV.

Nowa monografja o Matejce. Książnica „Atlas" wyda w roku przyszłym (w setną rocznicę urodzin) monografję o wielkim malarzu, pióra dra Mieczysława Tretera. Będzie ona wielką sensacją w świecie artystycznym, bowiem autor występuje przeciwko poglądom najmłodszej generacji plastyków, odsądzających Matejkę od wartości malarskich, przeciwstawiając swoją tezę, że wielkość Matejki polegała nietylko na ideowej i historycznej treści jego dzieł, ale właśnie była rewelacyjną pod względem formy malarskiej. Książka będzie wspaniale ilustrowana reprodukcjami niemal wszystkich dzieł krakowskiego mistrza.

Książka o Marji Kalergis. Nakładem F. Hoesicka ukazała się monografja o Marji Kalergis, pióra Róży Czekańskiej-Heymanowej. „Smutna historja wesołej kobiety" — tak brzmi podtytuł tej książki.

ZAGRANICZNA

W rocznicę Stradivariusa. W Kremonie odbyły się uroczystości z okazji 200-lecia śmierci „czarodzieja skrzypiec", Stradivariusa. Największą z imprez był kancert muzyki religijnej w katedrze kremońskiej pod dyrekcją mons. L. Perosi'ego z udziałem słynnego chóru kaplicy sykstyńskiej. Na zakończenie wykonano specjalnie skomponowany przez Perosi'ego hymn na cześć św. Omobono, patrona miasta Kremony.

„Chłopi" Reymonta po litewsku. Litwa zaczyna smakować w polskiej kulturze. Tow. Wydawnicze „Sakałas" w Kownie zamierza wydać w najbliższym czasie wielką epopeę ludową naszego pisarza.

Prof. J. Birkenmajer profesorem w Ameryce. Na katedrę literatury polskiej w uniwersytecie Wisconsin powołany został prof. Józef Birkenmajer, ceniony badacz, między innemi pierwszorzędny znawca życia i twórczości Sienkiewicza.

„Straszny Dwór" w Wiedniu. Po podpisaniu układu z Austrją, opera państwowa w Wiedniu zamierza wystawić w przyszłym sezonie znaną operę St. Moniuszki. Mamy to do zawdzięczenia akcji dra Z. Jachimeckiego, który, wykorzystując przyjazną atmosferę, stwo-

rzoną swemi wykładami o Szopenie, zdołał nakłonić dyrektora opery Koerbera do wystawienia „Strasznego Dworu", który jest najpełniejszym i najbardziej wszechstronnym wyrazem polskości historycznej.

Dom Penclubów w Paryżu. Otwarty został Międzynarodowy Dom Penclubów, znanej wszechświatowej federacji, skupiającej w 57 stowarzyszeniach około 5000 pisarzy. Na czele jej stoi obecnie Jules Romains. Dom ma być środowiskiem, w którem wielcy pisarze zagraniczni, przebywający chwilowo w stolicy Francji, będą mogli mieszkać, podejmowani przez swych kolegów. Dom ten, urządzony z niezwykłym komfortem, stoi przy ul. Pierre - Charron.

Przyczyna głuchoty Beethovena. Pewien rumuński lekarz, który przez 15 lat badał raporty dotyczące głuchoty genjalnego muzyka, ogłosił wyniki swych badań. Twierdzi on, że istotną przyczyną tej ułomności była skleroza wewnętrzna ucha, a nie, jak dotąd przypuszczano, choroba zakaźna krwi.

Paul Valery profesorem. Paul Valery, jeden z największych poetów współczesnych, członek Akademji Francuskiej, został powołany na katedrę profesora poetyki w Collègo de France.

Jak grał Szopen. W Londynie wyszła książka, która w świecie muzycznym wzbudziła wielkie zainteresowanie. Edyta I. Hiptins, córka ucznia Szopena, na podstawie wspomnień ojca nakreśliła obraz naszego genjalnego rodaka i szczegółowo omówiła styl i technikę jego gry.

Nagroda literacka Paryża. Tegoroczna nagroda przyznana została Rogerowi Martin du Gard za całokształt pracy pisarskiej. Odznaczony jest autorem słynnej powieści „Les Thibault", dającej obraz społeczeństwa francuskiego od końca w. 19 do wielkiej wojny. Ostatnio wydana „L'été 1914" jest dalszym ciągiem wspomnianej.

Zola na ekranie. W Paryżu, Rzymie i Londynie wyświetlany jest z niebywałem powodzeniem film „Życie Emila Zoli". Rolę tytułową wykonuje wielki aktor Paul Muni.

WIELCY ARTYŚCI W ANEGDOCIE

Pewnego dnia do willi d'Annunzia przyniesiono list zaadresowany: „Do największego poety włoskiego". Ale d'Annunzio odmówił przyjęcia przesyłki, twierdząc, że gdyby chodziło o niego, nosiłaby ona napis krótszy i prostszy: „Do największego poety"...

——————

Podziękowanie Heinego za dedykowaną mu książkę: „Drogi przyjacielu. W czasie czytania Twej książki zasnąłem, śniło mi się wówczas, że ciągle ją czytam. Wtedy przyszła taka nuda, że obudziłem się."

——————

Verlaine odznaczał się wielkiem zaniedbaniem w ubiorze. Kiedyś ktoś zwrócił mu uwagę, że mógłby nieco oczyścić sobie odzienie. Na to poeta odpowiedział:

— Nie jestem swym lokajem.

——————

Bernard Shaw, jest, jak wiadomo, świetnym pływakiem. Raz oddalił się jednak od brzegu i zaczął tonąć. Z trudem udało mu się ocalić życie. Na brzegu zaczęto dopytywać się, co przeżywał w krytycznym momencie. Okazało się, że Shaw nie miał wizyj ani przeszłości, ani przyszłości, jak to się często zdarza tonącym, nie myślał ani o Bogu, ani o zbawieniu duszy... poprostu przychodziły mu do głowy zmiany, jakie chciałby porobić... w testamencie.

——————

H. G. Wells założył ze swym przyjacielem tygodnik „The New Rewiew", który szedł bardzo źle. Kiedyś stoją obaj przy oknie w redakcji, gdy przejeżdża karawan. Wells odzywa się:

— Założę się, że to nasz prenumerator.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

I. T. Warszawa: Drukujemy, resztę wykorzystamy z biegiem czasu.

M. Ł. Warszawa: Drugi wiersz zachowujemy do numeru jesiennego.

G. R. Kraków: Pismo nasze nie jest trybuną do wystąpień demagogicznych.

Dr. W. M. Warszawa: Prosimy o porozumienie się z nami osobiście, celem omówienia stałej współpracy.

C. L. Kraków: Nie skorzystamy.

M. M. Warszawa: Temat dobry, prosimy o powtórne nadesłanie noweli w lepszem opracowaniu.

Dr. B. J. Kraków: Dziękujemy, zamawiamy.

F. P. Gdynia: Prosimy o zapowiedziane fotografje.

S. K. Kraków: Przeczytaliśmy, prosimy o dalsze.

L. D. Warszawa: Owszem, wykorzystamy w najbliższym czasie.

M. G. Warszawa: Wydrukujemy w numerze styczniowym.

H. B. Warszawa: Z nadesłanych wierszy nie skorzystamy.

J. S. Lublin: Sprawozdanie z działalności Teatru Wołyńskiego i Tow. Muzycznego w Lublinie, pióra dra J. Horskiego, ukaże się w jednym z najbliższych numerów.

W prenumeracie pojedyńczy numer

„ZORZY JUTRA"

k o s z t u j e t y l k o **58** g r.

Kto zdobędzie 5-ciu prenumeratorów, otrzyma półroczny, a kto 10-ciu — roczny abonament naszego pisma

b e z p ł a t n i e.

Nr. przekazu rozrachunkowego 201. Za przekazywanie pieniędzy tą drogą urząd pocztowy opłat nie pobiera.

Numer styczniowy, w szacie świątecznej, otrzymają prenumeratorzy

w przeddzień świąt Bożego Narodzenia

Numerów okazowych Administracja powtórnie wysyłać nie będzie.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Nowy Świat 56 m. 18** Redakcja czynna w godz. 16—18 Redaktor naczelny przyjmuje w poniedziałki w godz. 17 — 18.	Warunki prenumeraty: rocznie . . . . zł. 7.— półrocznie . . . . . . „ 4.— numer pojedyńczy . . . . „ 0.80 Konto przekazu rozrachunkowego 201.	Ogłoszenia przyjmuje Administracja w godzinach urzędowych na warunkach według umowy. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

Komitet redakcyjny: STEFAN SPYRA, Dr. JAN HORSKI, PIOTR ŁASTÓWKA

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: STEFAN SPYRA Wydawca: PIOTR ŁASTÓWKA

Druk Społeczna, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.